

KORNEL MAKUSZYŃSKI

PIĄTE PRZEZ DZIESIĄTE

Ach, jakież piękny tytuł! — zawoła uradowany czytelnik.

Muszę zauważyć odrazu, w celu uniknięcia nieporozumień, że czytelnik jest to indywiduum, które się raduje byle czem. Ponure moje spostrzeżenie pochodzi właśnie z powodu tego tytułu. Bo i czym się radować? Dla mnie tytuł ten jest pełen zgrozy, oznacza on bowiem, że autor będzie przemawiał nie wiele więcej i bynajmniej nie wiele piękniej, niż zawodowy warjat, bo tylko ta jedynie rozumna gromadka ludzka gadać zwykła “piąte przez dziesiąte”.

Jeżeli ktoś bredzi, to się o nim u nas mówi, że gada albo “trzy po trzy” — albo “piąte przez dziesiąte” znać w tych powiedzeniach żywiołowy wstręt Polaków do rachunków i do matematyki i pewien, egoistyczna zresztą, nagminnie nabożny szacunek dla szaleńców Jestem też pewien, że moja książeczka, takim trybem nazwana, będzie czytana z szacunkiem i z powagą.

Skąd pochodzi ten tytuł? Wprawdzie mało to kogokolwiek obchodzi, lecz nie będzie od rzeczy, jeśli powiem, że tytuł ten został przeżeranie obmyślony pracowicie i z wysiłkiem podczas bezsennych nocy, a wszystko to po to, aby czytelnicy mogli potem kiwać litościwie głową, lub jej połową, co tam kto ma i rzec: łach, on mówi “piąte przez dziesiąte!” Czytelnik bowiem jest to stworzenie bezwstydne, Nielitościwe i niewdzięczne, a rzadko który umie się zdobyć na to, by autorowi uczynić tę drobną przyjemność i dostać podczas czytania pomieszania zmysłów.

Autor zaś tego tylko pragnął i to nie przez złośliwość. Bynajmniej, Raz jeden stary gołąb ofiarował autorowi, swoje łagodne serce na zamianę i autor się nie zgodził; gołębie serce było za mało łagodne.

Czegóż tedy pragnie człowiek, który te słowa pisze?

Tego, by czytelnik na chwilę oszalał, bo jeśli oszaleje, to się na moment przeniesie do lepszego świata, w jakieś “piąte przez dziesiąte” niebo, gdzie wszystko z radości staje na głowie, gdzie myśli tańczą i słowa są pijane, gdzie każde zdanie się zatacza, gdzie nikogo nie bolą zęby, nikt smętnie nie śpiewa “szumią jodły na gór szczycie”, gdzie jest pogoda wieczysta, gdzie nikt nie patrzy ponuro, lecz każdy z uśmiechem i gdzie życie, jak chłopię rozigrane, gra w piłkę z odurzonym człowiekiem.

Och, jakaż to rozkosz móc czasem myśleć, lub czasem mówić — “piąte przez dziesiąte”, — jakaż to rozkosz! Nie “pryncypialnie”, nie metodycznie, nie napuszenie, nie logicznie, lecz bawić się szaleństwem słowa, rozigraniem myśli, spojrzeniem wesołym, opowieścią warjacką o byle czem, byle tylko dać susa z ziemi i przez jedno mgnienie oka utrzymać się w powietrzu.

Otóż, czytelniku, uderzywszy kilkakroć głową o twardy mur i pomyślawszy ze dwie, trzy doby — pojmiesz, skąd ten tytuł i co znaczy? Przeto ten tytuł powiada: będę mówił o wszystkim, co mi ślina na język przyniesie, co mi tylko strzeli do łba, o czym ptak zaśpiewa, — wszystko jedno o czym, więc i o piątym i o dziesiątym; będę mówił bez troski, z powagą starego warjata recydywisty, z serdeczną otwartością dziecka.

O, czytelniku! Gdybyś wiedział, jak łatwo być fałszywym filozofem, a jak bardzo trudno wesołym szaleńcem! Jak łatwo jest mówić prawdę roztropnie, a jak bardzo trudno jest kłamać lekkomyślnie, a pięknie! Gdybyś to wiedział, zmówiłbyś trzy Zdrowaś Marjo! i trzy Anioł Pański za zgubioną duszę autora...

Są takie warjaty, co włożą na górski grzbiet ł nad przepaścią, co paszczę zachłannie otwiera, usiłują zerwać aksamitny, szary, śliczny kwiatek, gdy milion ludzi chodzi po wygodnej ulicy, gdzie można kupić łatwo najwspanialsze kwiaty i posłać je opasłej i głupiej kochance. Ha! Oto jest porównanie wyborne i w najlepszym gatunku. Są też stare warjaty, co włożą gdzieś pod niebo, ponad przepaście, aby tam na szczycie szaleństwa, na chwiejącym się kamyczku lekkomyślności, znaleźć jeden mizerny, szary, lecz śliczny uśmiech, podczas kiedy inni bezpiecznie chodzą po szerokiej ulicy, wybrukowanej banalnie, płaskiej, jak dostojna dusza, sztucznie oświetlonej i tam sobie kupują zjelczałą, fałszywą poezją, kwaśną filozofję, sacharynę sentymentu, podrabiane wino uczucia i serce, owite w srebrną cynfolję,

Radość życia trzeba zawsze w Polsce przemycać przez celną granicę, na której stoi strażnik i nalepia etykiety. Bez etykiety nic się nie ostoi. Przeto jeśli radość słoneczną pożywasz w każdym słowie, albo zeń, jak z winnego grona wyciskasz krew słońca — słodki sok, kiedy jesteś jak dziecko, co ma niebieskie oczy i w dłonie chce chwycić promień, albo zebrać niemi migotliwy blask z powierzchni wody, wtedy cię palcem pokażą, mówiąc: patrzcie! patrzcie! to jest “smutny humorysta!”.

Ach! dlaczego smutny i dlaczego humorysta? Smutek jest to taki polski sos, którego się używa do każdej potrawy. Bez smutku, smętku, melancholji, tęsknoty, żalu i goryczy nie daleko zajedziesz, och. niedaleko. Żebyś się radował, jak słońce samo, powiedzą ci, że jesteś smutny, choć sam o tem nie wiesz. Popularnie nazywa się to “wmawianiem w żyda choroby”. Kiedy zaś do słowa “smutny” dodadzą słowo “humorysta”, to się z tego robi paradoks, tak straszliwie krwawy, jak trzydziestoletnia wojna, albo jak rzeźnia..

Na książce przeto, która się chce uśmiechnąć, należy pisać ostrzeżenie: “Nie jestem smutna! śmieję się uczciwie bez dwuznaczników! nie jestem szatanem ironji, ani uśmiechniętym nieboszczykiem”.

A potem dopiero trzeba wypisać tytuł na chudym grzbiecie książki.

Tytuł jest rzeczą do wymyślenia trudną. Autor ma z tem kłopot taki, jak matka, która przez osiem miesięcy rozmyśla nad tem, jak nazwie swoje maleństwo, albo jak człowiek, który dostał młodego psa, albo jak kochanek, który rozmyśla uciążliwie, jak zdrobnić imię swej kochanki. Matce jest łatwo, bo ma do dyspozycji kalendarz, rodzinne tradycje, babki i teściowe do narady; właściciel psa wybiera jedno imię z psiego imiennika, które jest niewielkie: Nero, Lord, Bryś, Łobuz, Hultaj, Pik, Trefl, Caro, Coeur, Pomysłowość ludzka w psiem królestwie daleko nie zaszła. Znałem jednego tylko człowieka, który się zdobył na dowcip i psie bliźnięta nazwał ślicznie, jego Whisky, a ją Soda, przez co wykazał wysokiej klasy kulturę pijacką i wzniosłość dowcipu. Kochankę nazwać jest trudniej i zazwyczaj zdrobniałe jej imię jest haniebnem oszustem miłości, która babę, grubą jak piec nazywa: Muszką, albo Ptaszkiem, albo Kociakiem, — miłość bowiem najchętniej szuka natchnienia w menażerji, — babę zaś wybujałą, szkieletowałą i tyczkę chmielowe zowie; Różyczką, Lilijką, Stokrotką, albo inną jakąś jarzyną, czy zielskiem.

Jeden i drugi rodzaj, ten fauniczny i ten botaniczny sprowadza się po zerwaniu i po awanturze do jednego pieszczotliwego skrót, zupełnie już nie alegorycznego, bo po pewnym czasie i Muszka i Lilijką nazywa się: “ta mała zielona!” Miłość bowiem ma zawsze na oczach tęczę i siedem jej barw i dlatego nawet mała w jej języku ma barwę zieloną.

Nierównie trudniej jest nazwać książkę; bo chociaż książka jest czasem psa warta, trudno jej dać psie imię; chociaż jest wierniejsza, niż kochanka, nie nazwiesz jej imieniem, które się z pieszczoty ociera, jak kot.

Możnaby się zastanowić przy sposobności, czy można w jaki sposób porównać książkę do kobiety. Myślę, że tak. Wśród kobiet są książki niemoralne, książki do nabożeństwa i książki kucharskie. Książka jest jednym wielkim kłamstwem i kobieta nie jest mniejszem. W najgłupszej książce jest jedno zdanie mądre, w najbrzydszej kobiecie jest zawsze coś, co jest piękne. Książka i kobieta wiele ci sprawia rozkoszy. Książkę i kobietę wymyślił djabeł. Takie jest przynajmniej zdanie mężów świątobliwych, łysych i żyjących na pustyni. Rzecz prosta, że się z niem nie godzę.

Książka jest pocieszycielką żywota i kobieta nią jest. Tak opowiadają najstarsi ludzie, którzy wogóle bredzą.

Wśród przeciwieństw, natkniesz się wprawdzie na momenty ponure, lecz i na radosne, bardzo radosne. Bowiem:

Książka milczy i mówić zaczyna, kiedy ty tego zechcesz, milknie na twój rozkaz. Spróbuj to uczynić z kobietą, o, nieszczęsny!

Książkę możesz pożyczyć, darować i sprzedać. Nie należy tego czynić z kobietą.

Z książką można wziąć rozwód od stołu i łoża, z kobietą jest to cokolwiek trudniej.

Książka nie ma ani teściowej, ani ciotki, tylko jednego cichego, ubogiego krewnego — autora; kobieta jest pod tym względem należycie zaopatrzona.

Książkę może zamordować usłużny krytyk; tobie, smutny bracie, jeśli o kobietę idzie, nikt takiej drobnej przysługi nie odda.

Książka nie je, nie pije, nie stroi się, nie gra w karty, nie robi zamieszania. Kobieta itd.

Ach! zgniewawszy się na książkę, możesz ją cisnąć w ogień i nikt o to do ciebie nie będzie miał pretensji, ni żalu. A gdy pan Landru spalił jedenaście kochanek, ileż było krzyku na obu półkulach?

Nie mamy jednak zamiaru rozprawiać tu o kobiecie, bo książeczka ta ma być wolna od myśli smutnych i od tego wszystkiego, co jest źródłem zmartwienia, chorób i śmierci, i wiecznego w ogniu piekielnym potępienia. Dlatego kobieta została tu wspomniana przypadkiem, przesunąwszy się jak chmura przez pogodę naszego myślenia.

Rzućmy kobiecie różę i pocałunek ręką i pójdźmy dalej, gdzie jej niema. Ba! Ale gdzież to jej niema? W niebie jako święta Cecylja, jako Hekate w podziemiach, jako Panna na firmamencie (jedyna panna, która się uchowa), Ewa na ziemi, Śmierć u schyłku żywota (Śmierć jest w naszej erze kobietą, jakby tego było za mało, — stare ludy wołały umierać z mężczyzną i po męsku), Muzy na Helikonie, — wszędzie, wszędzie, wszędzie, Niemasz zakątka na ziemi, na niebie i we wnętrzościach ziemi, bo i Ziemia jest kobietą.

Może dlatego świat jest tak cudownie piękny i taki pełen goryczy i smutku; może dlatego ludzie tak się garną do nieba i z tego samego powodu drżą przed piekłem; może dlatego kochankowie Muz uważani są dość słusznie za obłąkańców smutnych i nieszkodliwych, choć pełnych boskiego szaleństwa.

Kobieta zaraziła świat szaleństwem i ziemią, i gwiazdy. Ona to sprawiła, że wszystko jest z niej, przez nią i dla niej. O czemkolwiek człowiek myśli i o czemkolwiek mówi, cokolwiek czyni — ona jest w tem. Jest to dowód jej mocy djabelskiej i czarodziejskiej, której tak bardzo słusznie bali się ludzie świątobliwi, umiłowani przez niebo za swoje cnoty tak wielce, że im niebo nie pozwoliło mieć żon, raj im czyniąc już na ziemi.

Przewrotność jej jest tak wielka, że nawet ten, który wielkie klątwy na nie ciska, patrzy na nią ze zdumieniem i zachwytem. Tak mnich średniowieczny był pełen najmilszego szaleństwa, patrząc na piękną, nagą czarownicę.

Piekielne są to sztuki i ciemne, Oto nie miałem zamiaru mówienia o kobiecie, nie chcąc się upoić jej wspomnieniem, jak winem, a muszę mówić, bo stoi poza mną, uśmiecha się i wodzi piórem mojem po papierze, a ono pisze, jak zaczarowane. Tak czyni każdy, będąc

igraszką w jej rękę. Nigdy też nikt się bardzo nie bronił, — ja najmniej.

To też na tę chwilę tylko, ponieważ mi się wciąż płacze wśród słów, jak pnące róże, co się wiją w każdej szczelinie muru i mocno mi przeszkadza, odpędzę to widmo czarodziejskie, wymawiając szeptem egzorcyzmy i zaklęcia, których mnie nauczył jeden człowiek bardzo mądry, tak mądry, że, miał pięć żon i wszystkie od niego uciekły. Później wygłoszę płomienisty hymn na cześć kobiety...

Wracając do sprawy obmyślenia tytułów dla książek, należy objaśnić, że jest to sprawa ważna.

Iluz ludzi dlatego tylko zrobiło karj erę, że mieli szczęśliwie dobrane nazwisko; iluz dlatego tylko znalazło piękne żony, lub kochanki, gdy — przeciwnie, — najszlachetniejszy i genialny człowiek nigdy do niczego nie doprowadził, bo się nazywał albo Byk, albo Chrząszcz, albo pieszczotliwie Stoliczek, albo Guzik, albo Strzelba, albo Kordelas, Kielbasa, Salceson, Kiszka lub zupełnie poprostu Mator. Biedaczkowie to są, niewinni i pożałowania godni.

Tak też i z książką. Co było do wymyślenia w tym względzie, to już ludzie wymyślili i już teraz odmieniają tylko stare, dobre tytuły, wykrecają im stawy, zmieniają dawny porządek. Czasem jakiś bęcwał, jakaś ślepa kura, wygrzebie z piasku głowy tytuł wyborny i do tego doczepia furę siana, tom poezji, albo powieść. Siano to zjada potem sam, bez współdziałania czytelników, którzy wolą owies.

Najlepiej jest tedy, napisawszy książkę, zamknąć na chwilę oczy i napisać tytuł. Nie jest to najgorsza metoda; nigdy nie poznasz z fizjognomji, co siedzi we wnętrzu człowieka, rzadko też, najpiękniej obmyślony tytuł, jest w zgodzie z tem, co książkę wypełnia.

A jak duch boży unosił się nad wodami i nic innego nie było, prócz wody, tak czasem w książce duch boży jest tylko u góry, na okładce, a w przepaściach książki tylko woda i spiętrzone, szumiące bałwany, wliczając w to i autora.

Lepiej jest tedy, słuszniej i sprawiedliwiej, aby tytuł był pusty, a wewnątrz był okruch bożego ducha, niż naodwrot. Wobec czego wybrałem sobie tytuł nijaki.

Jest to jednak tytuł, mimo wszystko, chytry i przenikliwy, któż— mi bowiem dowiedzie, że nie dotrzymałem obietnicy, złożonej w tytule; któż mi wykaże, że to nie “piąte przez dziesiąte”? Nikt! Otóż wyborny to jest tytuł! Boski to jest tytuł, Bóg bowiem wie jeden, co ma oznaczać i co się pod nim kryje?

Książka powinna być napełniona tak złotym płynem, wyciśniętym ze słońca, jak butelka wina, na której nie przylepiono fałszywej i kłamliwej etykiety, a ten, co ją otwiera, nie wie, co z niej popłynie: słodycz wina, czy jego potęga, tęgość, czy zapach rozkoszny, podobny do tego, którym pachnie chleb, świeżo upieczony, czy napój, co rozmarza jak miłość, czy ten,

który burzy krew, jak stara ballada? Ta chwila czekania i drżącego niepokoju jest pełna słodkiej rozkoszy.

Ta książeczka licha nie takie ma zamysły. Nazwa jej jest szara i nijaka, a wewnątrz takie sobie. Jedno o niej wiem, że jest niefrasobliwa. Jeśli pod jabłonią legniesz na trawie, a rozigrany bąk nad uchem ci zabuczy, to będzie ci tak, jakbyś tę przeczytał książczynę, W księgach obszernych, w trudzie pisanych, zapisuje biedna dusza ludzka to, co z siebie wysnuła, zadumana głęboko nad wszystkim żywym, co cierpi, bowiem cierpi wszystko, co jest żywe,

A w takich, jak ta książeczkach, uśmiechnięta jak na wakacjach szkolne chłopię, zapisuje sobie gęsiem piórem to wszystko, co skądkolwiek przywiał wiatr. A wiatr przynosi list i uśmiech zdaleka, wesoły pokrzyk pijaków i hałakowanie rozigranej czeredy ludzi, co ciskają w siebie rymem, jak różą.

Po co to zbierać? Czy ja wiem... Pewnie dlatego że sroka zbiera świciełka, wiewiórka orzechy, stary oryginał pudełka od zapalek, babka szpargały, na nic nikomu niepotrzebne, szkolny żak pocztowe marki, zakochana panienska zasuszone w podręczniku! szkolnym kwiatki. Nikomu i na nic nie jest to potrzebne, a jednak się to chowa i czasem popieści spojrzeniem; z czasem to spełźnie i zwiotczeje, a jednak nie za wadzą nikomu i nikt nie jest zazdrosny o tę małą mi ilość małych rzeczy. Tylko wielkie namiętności mija jak burza, rozdarłszy serce szponem gromu, takie małe trwają długo i mrą powoli, śmiercią niebieską.

Takim lamusem małym jest dla mnie książeczka taka właśnie, jak ta. Co w niej jest? Prawie nic. Jest — rzecz prosta — list z Zakopanego, bo auto postanowił zbawić Zakopane, więc żadnej nie omiń: sposobności, aby go nie uszczypnąć w Gubałówkę jest opowieść o tem i powiastka o owem; a co najważniejsza — są w niej może dwa, może trzy uśmiechy. Życie jest jak taki dobry olbrzym, który jest potwornie silny, kiedy go szewska chwyci pasją; kiedy mu n złego nie uczyniono, rad się wielkolud pośmieje i wtedy mu można siadać na wąsach i zaglądać w oczy.

Kochać go jednak nie należy ze strachu, tylko z wielkiej do tego ochoty. Nikomu się wtedy nie stan: krzywda...

Ja sobie z tym olbrzymem gadam wesoło i ni frasobliwie; on wie, że są takie chwile chmurne, kiedy na siebie patrzymy zezem, kiedy się wszelki śmieć odsyła do djabła i gada się z nim ciężkiem słowem kiedy jednak pogoda jest na niebie i w sercach, woła śmiech, co jak ptak na pobliskim siedzi drzewie, ale przyleciał i usiadł mi na ramieniu, jak sokół.

OSTATNI LIST Z ZAKOPANEGO

I.

Ten list, to piąte przez dziesiąte o Zakopanem; to już list o niem ostatni. Wiele już napisałem o tem mieście straszliwem. Przemawiałem mu do sumienia, do duszy, do serca i do głowy. Nic nie pomogło. Wiac piszę o niem ten list ostatni, z całą pewnością ostatni, niedługo bowiem całe Zakopane zostanie wtrącone w ciemnicę, lochy więzienne, czyli mówiąc nie tak romantycznie, będzie siedziało w kryminale, z takim zaś, co tam siedział, nikt się, jawnie przynajmniej, zadawać nie będzie. Przeto należy mi pożegnać tę lichą imitację miasta, które zginąć musi sromotnie, jednego dnia bowiem zirytowany dobry Pan Bóg chwyci w rękę Giewont, jak młot kamienny i pocznie je tłuc po łbie, rozwali wszystkie jego budy i zetrze z powierzchni ziemi, aby ślad po niem nie pozostał,

List ten datowany jest ze stycznia 1924 roku. Wtedy to chwycił wielki mróz, a mnie gorąca pasja.

Jestem tak doskonale ochrzczone, że nie miałem zamiaru tej zimy wyjeżdżania do Zakopanego, Stare nałogi chodzą jednakże po kościach, więc jak jaskółka w jesieni czuć nagle zaczyna, że jej czas już puścić się za morze i jak różowa panienska poczuje dnia jednego, że już jej czas puścić się za..., — nie! nie tak, ale coś w tym sensie, — tak stary włóczęga czuje w środku zimy, że nadszedł czas, aby się powlec do tego przeklętego Zakopanego.

Mało wprawdzie podobny jestem do jaskółki, nie bardzo też, co mnie martwi, przypominam różową, jak obłok dziewicę, lecz jestem starym włóczęgą, więc pojechałem.

Takie myśli nachodzą człowieka zwykle w nocy i mnie myśl wyjazdu przyszła też w nocy, mniemam tedy, że albo tej nocy ktoś się z moich znajomych powiesił, co zapowiada nieszczęście, w pierwszym rzędzie i bezspornie dla powieszzonego, w drugim dla jego krewnych, jeśli nie zostawił majątku, w trzecim dla jego znajomych, którym był winien, — albo też muszę mieć jakiegoś wroga nieboszczyka, który mi w nocnej ciszy łajdackie podszeptuje plany.

Dość, że pojechałem. Tyle już razy byłem w Zakopanem, że mnie nic już tam nie zdumiewa, Co się może zmienić w Zakopanem przez pół roku? Było krzywe, jest i będzie. Było niechlujne, jest i będzie. Były żydy, są i będą.

A jednak w zimie roku bezpańskiego 1924 — coś dziwnego stało się w tej wylęgarni bakcyliów.

Już na dworcu kolejowym zauważyłem dziwne zjawisko. Oto połowa ludzi, wyjeżdżająca z Zakopanego, wsiadała do wagonów, lichy wie, dlaczego — w bieliźnie. Dwadzieścia stopni mrozu, a do przedziału włązi mój znajomy z ciupagą w sonej dłoni, w koszuli tylko i w jaegerach. (Jaegery to jest takie coś z wełny, wymyślone w Niemczech, czego z obawy zaziębienia człowiek systematyczny nie zdejmuje nigdy przez osiem miesięcy w roku).

Za tym gołym lezie drugi, za nim trzeci,

— Przepraszam pana, — powiadam ze słodyczą w głosie, — ale zdaje mi się, jeśli się nie mylę, że pan zapomniał na podróż wdziać spodnie..

Znajomy spojrzał na mnie zgoła dzikim wzrokiem,

— Ha! ha! — syknął, — spodnie? Pilnuj pan swoich, mój panie!

— Ma szczyty zajęte! — pomyślałem ze współczuciem, nie tyle mając na uwadze płuca, ile raczej głowę.

Dziwne, dziwne rzeczy!

Ale to dopiero był początek.

Hucznie, buńczucznie, z brzękiem dzwonek, ze strzelaniem z bata, z ciąglem gubieniem walizki, z papierosem w zębach, ze strachem w duszy, jadę do pensjonatu, którego nazwy, rzecz prosta, nie wymieniam, bo go będę oczerniał, co zresztą już nieraz robiłem. Jest to najmilszy w Zakopanem pensjonat, naturalnie dlatego, że ja w nim zawsze mieszkam, ja i przyjaciół moje. Innej racji do wyróżnienia nie widzę.

Mieszkają tam dobrzy ludzie, a właściciel wydawał mi się zawsze przy zdrowych zmysłach.

Jakiś jednak owej zimy padł na nich urok.

Słyszę, jak żona tego zacnego, człowieka, woła do niego:

— Winkelriedzie! Winkelriedzie!

— Czegóż to żądasz, Lozanno?

— Nie widziałeś panny Lucerny?

— Poszła na nartach na łąkę Ruttli!... Słucham i uszom nie wierze.

— Albo to mróz tak na nich działa, — myślę ponuro, — albo się też na mój przyjazd z radości urznęli.

Jestem jednak zatroskany i smutny. Jem pierwszy objad, głęboko zamyślony.

Podają ser z wielkimi dziurami, czego tu nigdy nie robiono. Dziury czasem były tu w obrusie, sera na nim nie było nigdy.

— To szwajcarski! — powiada mi z dumą podająca do stołu dziewczica, która się od

urodzenia Zakopanego nazywała Józia. Powiadam jej:

— Józiu kochana, niech mi Józia powie...

— Ja się nie nazywam Józia... Ja się nazywam teraz ArmgardaL.

— Oj! A Marysia to już także nie jest Marysia?

— Całuję rączki, także nie! Ona się teraz nazywa Mechtylda...

Powarjowali, jak mi Bóg miły! Pisali mi Wprawdzie przedtem z Zakopanego, za to już nie Zakopane, tylko Szwajcaria, ale nie myślałem, że aż do tego stopnia.

Ale i na tem nie koniec.

Po objedzie wszystko wyległo na balkony z aparatami fotograficznymi, Dom wygląda jak zamek średniowieczny podczas turnieju, przed domem zaś dziwna odbywa się uroczystość: pod jodłą stoi nieruchomy jak bałwan chłopczyk do posyłek, pyzaty i uśmiechnięty, jak przystało, na młodego idjotę, a na głowie ma jabłko, zaś właściciel pensjonatu o dwieście kroków oddalony napina łuk, zrobiony z obręczy starej beczki, z cięciwą ze sznurka i mierzy bystrze w młodego idjotę.

Pot mi wystąpił na czoło.

Zrozumiałem. Tak, to jest Szwajcaria, a te prawdziwi Szwajcarowie — rachunek będzie we frankach szwajcarskich. Ci, co wyjeżdżali w bieleńnię, także się o tem dowiedzieli, przedemną. Dostałem małego zaćmienia umysłu; jakiejś panience powiedziałem, że jest szwajcarskie cielię, jakiejś damie przedstawiłem się ponuro:

— Jestem Werner Stauffacher z kantonu Schwyz. I zgrzytnąć musiałem zębami, bo baba zwiłała jak kozica.

Jak Szwajcaria, to Szwajcaria...

I oto tam, gdzie duchy i upiory pijały szampana, gdzie rozprawiano o tem, kto z kim, gdzie, jak i kiedy? — czy to prawda, że on nie chciał, ale ona się uparła? — o tem, czy pannom nie szkodzi jazda na saneczkach — gdzie poruszano wesoło i bez troski tematy piękne i pouczające, — dziś ponury duch samiec gada do ponurej samicy ducha:

— Frank znowu skoczył..

— A niech skacze i niech nogi połamię!

Oto wszystko, co zostało z zakopiańskiego żywota, bo mało co więcej.

Choroba się zrobiła epidemiczna.

Przychodzę do restauracji Karpowicza, odświeżonej i oświetlonej niesłychanie. Znowu oczom nie wierzę: w sali pusto, żadnego gościa, ale mimo tego ruch jest wielki i także jakaś uroczystość; na podjum wetknięto ciupagę, a na ciupadze zawieszono stary kapelus; dziewice, podające potrawy, ustawione w szereg z nieśmiertelną Honorcią na czele, przechodzą obok i

składają kapeluszowi głęboki ukłon.

— Czyj to kapelusz, na Boga!?

— Pana Karpowicza!

Szwajcar! Szwajcar z Kantonu Uri!

I ten także...

Tak, tak! Ci, co przedemną tu byli, musieli wyjechać bez portek. Nie zostawiono im nawet na otarcie łez. Wobec tego zaczynają ludzie mądrzeć i zamienili Zakopane na jedną wielką czarną giełdę. Gdyby ten dzielny komisarz, co wyłapywał w Warszawie dolarowych żydków, pojechał do Zakopanego, zwarjowałby ze szczęścia; mógłby poprostu otoczyć całe Zakopane i wyprowadzić do kryminału, jak czarodziej wyprowadza szczury,

Marka polska już nie była znana w Zakopanem; brali ją leszcze, niechętnie, na poczcie i w markach udzielało się przyjacielskich pożyczek. Poza tem walutą Zakopanego był dolar. Można go było zmienić wszędzie, najtrudniej zaś w banku; dla wygody moich następców w Zakopanem, muszę wszystkich pouczyć, że dolary najkorzystniej mienia tam jeden fryzjer, e dwa punkty więcej daje jeden szlachetny szewc, mogę też podać adres jednej akuszerki na Krupówkach, która kupuje wprawdzie dolary, najchętniej jednak bierze czeskie korony; franki francuskie przyjmuje tylko dwóch kelnerów, jeden z Morskiego Oka, drugi od Trzaski, liry włoskie jedna tylko baba, co stawia bańki i mając już dość innej waluty, polubiła serdecznie papiery włoskie. Po dwóch dniach pobytu w Zakopanem można otrzymać wszystkie adresy dokładne i obszedłszy fryzjera, szewca, akuszerkę i kelnerów sprzedać dolara najkorzystniej u jednego rzeźnika, którego adresu nie zdradzę, bo robiłem z nim brudne interesy giełdowe.

Poza tera handlują dolarami wszystkie żydy zasiedziałe i napływowe pod każdą chałupą, w każdym pensjonacie, w każdej kawiarni, na żydowskim Giewoncie, w kinematografie, na dworcu kolejowym i podczas jazdy w sankach. Ale to wszystko nic.

Najruchliwszą, najpotężniejszą, najbardziej podstępą i chytrą, najbardziej skombinowaną jest giełda literacko — artystyczna w kawiarni Trzaski, na werandzie między dwunastą a drugą w południe, a jeśli towarzystwo było poprzedniego dnia zalane, to nieco później. Z dziką satysfakcją donoszę o tem panu ministrowi skarbu, bo mnie tam haniebnie i bezpiecznie orznęli.

Funkcjonują tam straszliwe, nienasycone szakale: czterech poetów (och, co za wstyd!), pięciu malarzów (serce się kraje jaka hańba!) — jeden architekt (odpuść mu, Boże, w godzinę śmierci!) — jeden znakomity aktor (na scenę grać, nie na giełdę!) — jeden krytyk literacki, ukrywający walutę w meloniku (co za zbrodniczy spryt!) i jeden wielki, bardzo wielki muzyk (osłabłem!).

Jak to śpiewają w “Nowym Don Kichocie”? “Do więzienia, do więzienia, bez dalszego tłumaczenia!” (bis).

Otóż ta gromada podstępnych złoczyńców, wampirów, celników, hyen i szakali zdołała skupić w swoich rękach czternaście dolarów, dziesięć franków i dwie korony czeskie i od trzech miesięcy handluje tem, obraca, mienia, miętosi, sprzedaje, kupuje, pożyczka, daje w zastaw, waloryzuje, lombarduje. Doszli w tem do takiej żydowskiej wprawy, że podziw bierze. Przychodzę na tę giełdę napić się wódki, bo jest tam taki zwyczaj, że kto chce robić dolarowy interes — ten pije wódkę, kto robi w koronach czeskich — pije piwo, kto we frankach, ten pije wodę sodową. O tych tajemnych znakach wspominam dla użytku policji, aby nie wierzyła pozorom.

Jako nowy gość przysłuchuję się z zaciekawieniem djalogom moich znakomitych kolegów. Djalogi są treściwe i trochę niezrozumiałe.

Powiada architekt do poety. — Brief do pana na dziesięć!

— Geld na osiem! — powiada poeta.

— Złam kark! — rzecze architekt.

Interes widocznie nie doszedł do skutku, jednakże terminologia żydowsko — giełdowa zachęciła mnie do zrobienia interesu.

Pogadawszy więc z duszą, zdając sobie z tego sprawę, że dokonuję wielkiej transakcji, rzucam nagle słowo śmiało i potężne:

— Kupię dolara!

Jak kiedy padnie strzał i nagle wszystkie ptaki przerażone milkną, tak umilkli moi przyjaciele. Ja — przyznaję — byłem trochę błąd, ale słowo się rzekło. Oni spojrzeli jeden na drugiego,

— Ile? — jęknął literat,

— Jak—to — ile? Jak w gazecie..

Zabrzmiął nieszczerzy śmiech; łajdak kelner, przysłuchujący się transakcji, zapewne cichy współnik, uśmiechnął się z politowaniem. Byłem błąd; pot wystąpił na czoło,

— Więc ile?

Przyjaciół powiada mi dobrotliwie, jakby pouczał niemowlę:

— Żydzi robią na ultimo piętnaście...

— Co to znaczy “na ultimo”?

Tem pytaniem oddałem się im w ręce. Człowiek, który nie wie, co to znaczy “na ultimo” jest miłym idjotą, dla którego niema ratunku. Więc autor dramatyczny objaśnia:

— “Na ultimo” — to znaczy, że z końcem miesiąca każdy ci za tego dolara da piętnaście

miljonów...

— Jaktó — każdy?

— No... nie każdy, ...ale jeśli się z kim umówisz...

— Aż tobą można?

— Można, tylko, że ja się wycofuję z interesów...

— Aha! Więc ile za dolara?

— Dla takiego przyjaciela jedenaście milionów, dwie wódki duże, jeden porter, jedno jasne, śledź i dwa papierosy,

— Zgoda, ale bez portera!

— Bez portera? — to nie jest żaden interes...

— No to dawaj dolara!

Przyjaciel rozjaśnił gębę, pożyczył dolara od architekta za trzy wódki i śledzia aż do zwrotu, a ja go kupiłem.

Za trzy dni przychodzę i wołam śmiało już, jak stary giełdciarz:

— Przyjaciele! sprzedam dolara!

Cicho jak makiem siał. Łajdak kelner się uśmiechnął. Widać z tego, że nikt nie kupi dolara. Zbladłem i nogi podemną zadrżały. Jestem zrujnowany. W gronie wampirów znalazł się jednak człowiek z miękkim sercem, autor "Wiosny i wina".

Sumienie go tknęło i powiada:

— Może szewc kupi...

— Fryzjer lepiej płaci! — dodał architekt, któremu oby się każdy dom zawalił.

Sprzedalem tego dolara za osiem mil j ono w...

Policja, gdzie jest policja!? Tam na tej giełdzie dzieją się potworne rzeczy. Wielki muzyk miał dziesięć franków. Sprzedał, kupił, zamienił i dwadzieścia dwa razy zastawiał; po trzech miesiącach ten sam banknot wrócił do niego, ten sam, lecz nie ten sam: była na nim krew ludzka, krwawy pot, plama od masła, dziurka wypalona papierosem, rozmaite paskudztwo i ślady serdecznych łez. Myślę jednak, że gdybym miał nawet raz jeszcze, wbrew przysiędze pojechać do Zakopanego, to przecież pojedę, kiedy się dowiem, że dwunastu moich przyjaciół będą prowadzili przez Krupówki z łańcuchami na rękach i nogach.

Och, co za rozkoszny widok dla serca, co dyszy zemstą!

Na razie im przebaczam; niech tani handlują drogie chłopaki. Jeszcze tylko, aby tych celników zobaczyć i te gęby rozradowane, warto przyjechać do Zakopanego i zaryzykować jednego dolara na handel..

Co jest jednak w tem najdziwniejszego, to to, że te żydy katolickie są w najlepszej

komitywie z policją. Na własne oczy widziałem, jak komendant zakopiańskiej policji rumiany jak panna i ze sztuką na doskonałej stopie żyjący, nie przeczuwając z kim ma do czynienia, przyszedł ich prosić na bal. Albowiem trzeba wiedzieć, że w Zakopanem był bal — policji. Był to bal wprawdzie nadzwyczajny, bo nigdzie nie można znaleźć miłszych i bardziej sympatycznych młodych ludzi, jak w policyjnych mundurkach, lecz równocześnie bal niezwykły, bo z miejscowych ludzi nikt się na nim nie zjawił, tylko sami obcy.

Miejscowi ludzie patrzyli na ten bal podejrzliwie; jeden właściciel pensjonatu mówił szeptem do drugiego:

— Niech pana ręka boska broni, żebyś pan miał pójść na ten bal!

— Niby czemu?

— Panie! Toż to ordynarna pułapka... Po jednemu nie dadzą nam rady, a jakby nas tam dostali razem, to tylko lokal otoczyć...

— A ten z "Morskiego Oka" idzie!

— Ten może, ten już dostał swoje dwa tygodnie; jak kto mokry, ten może wleźć do wody, ale mnie jeszcze miłe życie.

— Patrz pan, patrz pan! Mnie się też to odrazu nie podobało... Policja i tańce... Pan Szwajcar?

— Pewnie, że Szwajcar... To lepiej nie chodzić?

— Mają pana wziąć, to lepiej z dońiu, poco z balu?

To też padłszy na kolana, błagam Pana Boga; aby ich wszystkich zabrali, choćby z domu. Wtedy się w Zakopanem zrobi przestronne i przyjemnie.

II.

Zimowy sezon tego roku 1924, wzięli djabli, z czego wynika, że i djabli mogą czasem dokonać rzeczy słusznej i sprawiedliwej.

Dawno już przypuszczałem, że murzyni Zakopanemu szczęścia nie przyniosą, ponieważ zaś tego czarnego tałałajstwa namnożyło się w Zakopanem co niemiara, zdawać się poczęło tej zapaskudzonej mieścinie, tej żabie nadętej, tej lichej imitacji miasta, tym czterem chałupom, dwom potokom i jednemu kintopowi, że jest słynną europejską miejscowością klimatyczną i najwyraźniej oszalało.

Kiedy człowiekowi upadnie mały kamień na mózg, już może zwarjować, a przecież tym z Zakopanego całe Tatry upadły na głowę. Rzecz, swoją drogą niepojęta, jak Pan Bóg może pozwalać na to, by u podnóża takich cudownych gór, żyło takie paskudne miasteczko? Paskudne — to jeszcze nic, ale takie bezczelne; nadyma się, a jest brudne, połamane, pokrzywione, jakby miało przetrącony kręgosłup i za te zdziera i obdziera, a jak ci wyda resztę, to kilka suchotniczych nadobnych, urodziwych bakcyłów. Śliczne miasto!

Kiedy rycerz Giewont kładł się na swój kamienny sen, musiał pewnie — że to z pustym żołądkiem śpi się lepiej, — dokonać jakiejś funkcji szpetnej. I z tego powstało Zakopane. Ślady tego pochodzenia płyną zresztą podczas odwilży po Krupówkach.

Żeby to jeszcze powiedzieli sobie w Zakopanem: niech będzie ubogo, ale chędogo! Żebyż to! Tymczasem manjery, a fummy, a zadzieranie nosa, a fasony! Kawiarnie, bale, dancingi, murzyny, jazzbandy,

A “ono” jak płynęło po Krupówkach, tak płynie.. W kawiarni dadzą ci takiej kawy, że się żołądek zamyka na gwałt i krzyczy: nie chcę! nie chcę!, a kelner uważa, abyś gościu przekłęty, łyżeczki nie ukradł takiej łyżeczki cynowej, na której znać ślady wszystkich zębów.

Dancing jest niebywały. Obwiesili knajpę czemś potwornem, jakąś zieloną szmatą, wrazili w to dziesięć elektrycznych lampek i to jest najwytworniejsza sala balowa w Zakopanem, Nazywa się to “Smocza jama”, co ma znaczyć, że ta zielona płachta, posmarowana klejem, zmieszanym z piaskiem na kolor zastarzałej gangreny, jest skórą, zdjętą ze smoka. Ha! To jest śliczne! Jeśli ten smok gdzie zdechł, to z pewnością tutaj; wypił butelkę szampana i rozpuknął się, bo nawet smok tego szampana nie wytrzyma,

W takim dancingu siedzą żydy i radują się wielce, To dzieci smoka. On ją chwyta za stan cywilny, ona jego za coś tam i tak tańczą pięknie. Tańczy Moritz, jak w St, Moritz, A katoliki tymczasem umierają na suchoty, bo nie mają za co robić co innego.

Ci zaś, co grają w tym dancingu, ciągle wyją jak obdzierany ze skóry smok. Ja się nie dziwię! Gość przyjdzie i pójdzie, ale ci nieszczęśliwi muszą patrzeć na tę smoczą dekorację przez całą noc. Wyją więc z rozpaczy, aby się zagłuszyć. Miły to jest lokal, niema co, ale za to najwspanialszy w Zakopanem. Ładniej może być tylko w kryminale, albo w takim domu, którego nie można nazwać prywatnym, tylko jakoś inaczej.

Jest to narazie jedyna rozrywka w tem słynnym mieście, innych niema; poza tem można jeszcze nosić na plecach narty i chodzić przez dwa dni w poszukiwaniu śniegu.

“Sezon” więc tak się przedstawia: zawsze była pogoda, wtedy, kiedy ciebie tu jeszcze nie było i będzie z pewnością wtedy, kiedy wyjedziesz. Kiedy zaś jesteś na miejscu, wtedy gór nie widać, bo jest mgła śniegu niema, bo jest halny wiatr, na ulicach

jest błoto, bo pada deszcz, ciepłej wody niema, bo coś się stało z rurą, światło zgasło, bo tu taki zwyczaj, ceny podnieśli, bo takie twoje psie szczęście, z sankami cię wyrócili, bo właśnie jest ślizgawica, wybiłeś sobie dwa zęby, bo studnia stoi na środku chodnika i dokoła niej jest skład lodu, kwiczołów niema, bo pan Karpowicz wyjechał do siebie na wieś, piwa niema, bo nie przywieźli z Żywca, a z Krakowa nie chcieli, tam pójść nie można, bo gruźlica, tam nie wypada, bo ktoś umarł, jajek nie dostaniesz, bo “za te pieniądze, niech pan sobie sam znieś”, pieniędzy ci w banku nie dali, bo “jeszcze idą” — “a kiedy mogą nadejść?” — “może za miesiąc”, — pożyczyć nie możesz, bo wszyscy goli, wina niema, bo woda zamarzła, mięsa niema, bo żaden baran nie zdechł, wyjechać nie możesz, bo “nie wiadomo, czy wagon będzie”, umrzeć nie możesz, bo to zbyt kosztowna heca. Możesz tylko usiąść na gołoledzi, wziąć bryłę lodu w rękę i tłuc się po głupim łbie i rzewnie płacząc, możesz mówić sam do siebie:

— A dobrze ci tak, idjoto! Kto ci kazał jechać do Zakopanego?

Żeby zaś “sezon” był w całej pełni doskonały i godny uwielbienia, — Zakopane wymyśliło sobie dwa razy w jednym tygodniu halny wiatr.

Jest to niezwykle miła i zachwycająca instytucja, taki rozkoszny wiaterek, który sobie wesołe czyni igraszki.

Są wiatry poważne, stateczne; wiatry świszczące, efektowne, używane zawsze w teatrach; wiatry przyjemne, łobuzy niewinne; wiatry wesołe, zadzierające pannom kiecki, jakby chciały, licha wie po co? — sprawdzać: panna, czy też tylko udaje?; jest wiatr pajac, który przypomina wesołego psa, co się za własnym pokręci ogonem i dalej bieży; wiatr baletnik, co podskakuje i tylko wróble straszy; wiatr złodziej, co ze sznurków suszącą się kradnie bieliznę; są wiatry takie i owakie.

Zaś wiatr halny jest to wiatr — warjat, wiatr — furjat, pijany zwierz, zawalidroga, deliryk z gorącym łbem, żyd, wieczny tułacz, opętaniec, który miejsca sobie znaleźć nie może,

na ziemi, ani na niebie, wiatr dantejski.

Urodzi się takie świszczące bydlę gdzieś chyba w Afryce i nagle ma interes do Zakopanego. Czy już to samo nie dowodzi jego szaleństwa? Przyleciał więc, pohulał wśród dolin i nagle powąchał Zakopane. Wtedy mu gorąca krew uderza do głowy, wtedy się wściekł i oszalał. Ja się nie dziwię. Oszalały, zaczyna orgję; lata, jak szalony tu i tam i szuka Rady gminnej z wyraźnym zamiarem pourywania łbów tej radzie. Czasem wyłamie las, niedużo, czterdzieści, pięćdziesiąt tysięcy drzew, czasem wyróci dom, czasem porwie człowieka. Mnie nie dał rady, (osiemdziesiąt kilogramów i ciężki dowcip), lecz ubiegłego roku porwał mego przyjaciela, zacnego poetę, Lechonia i przez dwa dni go nosił przez powietrze od Trzaski do Karpowicza, tam i z powrotem; kochany ten człowiek dostał od tego czasu takiej manji, że wciąż biega od knajpy do knajpy — nawet w Warszawie.

Straszliwy ten wiatr ma pomysły, godne warjata, starego, rutynowanego warjata. Wiatr zwyczajny wieje krócej, lub dłużej, zwykle w jednym kierunku, zawsze w przeciwnym, niż ten, który zapowiada biuletyn obserwatorium. Można się do niego zastosować i można sobie dać z nim radę, odwróciwszy się do niego plecami. Nikt jednak nie może przewidzieć, co robi, skąd zawieje i z jaką siłą ten halny drapichrust. Pominąwszy już takie niewinne drobiazgi, jak wywracanie chałup, wiatr ten ma metody dręczycielskie. Przez pół godziny naprzykład wali ci pięścią w okno i najwyraźniej stara się wyrwać z zawiasów. Tarza się przytem z radości jak opętany i widząc przez szyby twoją wściekłość, z radości pieje, ryczy, bulgocze, pokrzykuje, śmieje się, jak puszczyk, gdacze, jak kura, gwizdże jak Mefistofeles u Boity; trzeba więc zgasić lampę, aby bydlę nie widziało, że się irtujesz,

O, doskonale!

Z miejsca zawrócił i powiał w inną stronę, b« słychać nagły rwetes, skrzywienie i płacz jodeł. Tam łajdak używa. Wtedy usiłujesz zasnąć; ledwieś oczy przymknął — on już jest. Palnął dłonią na płask w okna, wyrwał z dachu dwie dachówki i prasnął je o śnieg, wparł się w ziemię i najwyraźniej chce wyrócić dom. Już nikt nie zmruży oka.

Taki to jest miły wiaterek. Ma afrykański gorący łeb, gorący jęzor i całe ciało rozpalone, więc się z lubością tarza po śniegu, zlizuje go ozorem, gryzie lód, a wyłamanego z korzeniem świerka używa jako wykałaczkę. Mam wrażenie, że to żydowie sprowadzają ten wiatr z pustyni na pamiątkę swojej wędrówki, wiatr ten bowiem wieje w Zakopanem zawsze, kiedy przebywa tam ponad siedemdziesiąt procent żydów; w tym zaś sezonie, nie licząc murzynów, którzy podobno są poczernionymi żydami, było w Zakopanem sto dwadzieścia pięć procent żydów.

Po takim wietrze tyle jest tylko w Zakopanem śniegu, ile go potrzeba na zrobienie lodów w pierwszorzędnym pensjonacie, (Bierze się dwie miednice śniegu, łyżkę cukru, pół

szklanki śmietanki koziej i trzy cytryny). Potem zaś w środku stycznia zaczyna padać deszczyk, taki nasz, kochany kapuśniaczek. Porządnego człowieka zbiera rozpacz, ten i ów zirytuje się i uwiera, a on sobie popaduje.

“Słońce świeci, deszczyk pada, Karpowicz dolary składa...”

Ach, jak ślicznie!

To też gdyby wszyscy, którzy w tym roku chcieli się powiesić, powiesili się byli naprawdę, brakłoby świerków w Zakopanem,

Oglądałem się i ja za jakimś tęgim świerkiem, kiedy mi powiadają:

— Poczekaj! Karol Szymanowski zagra...

Szymanowski zagra? Warto żyć!

Biletów nie sprzedawano, tylko wybranym i tylko w ograniczonej ilości. Ostatecznie pokazało się, że przecież jest w Zakopanem dwustu porządných ludzi; jest to nie do wiary, a jednak tak było.

Koncert odbył się w Czerwonym Krzyżu, w sali świetnie ogrzanej, bo podczas koncertu tylko dwie panie odmroziły sobie uszy, a jeden oficer obie nogi. Ja byłem przezorny i przyniosłem sobie garnek z węglami, które trzymałem pod krzesłem, Stryjeński wjechał na salę na nartach, w plecaku zaś miał termos z gorącą herbatą, dwie butelki wódki i żonę. Śnieg na sali nie padał, trzeba być sprawiedliwym.

Wychodzi Szymanowski — we fraku. Sprawiało to wrażenie, że człowiek we fraku będzie grał pod biegunem zakutym w futra Eskimosom, ssącym szpik z reniferowych kości. Chce coś przemówić do publiczności, że nie jest wirtuozem i że będzie grał tylko swoje utwory, lecz z zimna zacina mu się szczęka, zęby szczękają, jak klawisze i koniec zdania zamarł w powietrzu. Ludzie witają go oklaskami trochę z miłości, , a przedewszystkiem dlatego, żeby się rozgrzać ruchem.

Szymanowski bierze pierwszy akord..

Ha! Co to jest? Co ma być? Fortepian się kiwa, , bo ma poprzetręcane w kolanach nogi.

Przyciska nogą pedał. Ha! Co to jest? Co ma być? — Nic! Pedał skrzypi, jak stara baba w tańcu, jak nieboszczyk, którego odwracają na drugą stronę, aby mu się nie nudziło, jak drzwi więzienia, jak pracowite łóżko, jak koła wozu, na którym wiozą skazańca, jak piasek w zębach, kiedy rydzów nie wymyto, jak niedobrane małżeństwo, jak gardło chórzystki, jak nowe buty farmaceuty.

Czerwony Krzyż posiada dobry fortepian. Fortepian chory, zaziębiony, z zapaleniem płuc, z chorobą przewlekłą strun głosowych, ze szpatem, z zołzami, z kozińcem, ochwacony, bezzębny; fortepian dziwo, fortepian monstrum, złajdaczony, zblazowany, zgryźliwy, z

rozbitem sercem, zdenerwowany, irytujący się.

Na takim fortepianie grał Karol Szymanowski. Grał tak cudowne rzeczy, że się to zwierzę trzynożne zdumiało i wściekłe z początku, poddało się mu, zachwycone, jak historyczka, którą ktoś urokiem nieprzepartym zniewolił. Był to najdziwaczniejszy na świecie koncert. Powinni tam na tem pudle czarnem przybić tabliczkę na pamiątkę, że Karol Szymanowski grać na nim raczył.

W pauzach rozścierano wielkiego muzyka śniegiem i wódką; po tem wyprowadziliśmy go tylnem wyjściem, aby go nie spotkał los Orfeusza, bo go bachantki chciały rozerwać na pamiątkę. Ponieważ zaś kościół już był zamknięty, więc długo w noc u Karpowicza dziękowaliśmy Bogu i gorąco i modlitwą zamrożoną, że jeszcze muzyka działa na ludzi i napelnia ich zachwytem.

Zresztą skutki słynnego tego koncertu były fatalne: wszyscy zaczęli grać, ten na fortepianie, ten na dolarach, ten w karty, na czem kto umiał, a że tam wypito jakies pół butelki, — mój Boże! któż się dziwić może entuzjastom. Ale jakie to jednak ohydne miasto! Jedna baba drugiej babie opowiadała, że jeden przyjaciel artystów “ten z Boruty” — to sobie rękę wywichnął od otwierania butelek, a ten drugi — proszę pani, — to i czekać nie chciał, aż butelkę otworzą, tylko szyjkę odgryzał od butelki zębami.

Z tą ręką to trochę przesadzone, ale z tem odgryzaniem szyjek, to już łajdacki wymysł. Było .dziesięć butelek na osobę, a zaraz paskudne pyski zrobią z tego dwanaście!

Trochę się jednak ożywiło w Zakopanem od tego czasu. I kiedy człowiek jaśniej spojrział, to mu się i zdemobilizowany generał wysokogórskiej kompanji, Giewont, wydał jako mały człowiek, co się schlał i leży i bujnopiersna Gubałówka, szeroka w biodrach baba, wydała mu się przyjemna. To jednak tylko nastroje.

Jest jednak takie miejsce w Zakopanem, gdzie słońce zawsze mieszka i gdzie najczystsza radość, jaką tylko wymarzyć sobie można, bez przerwy panuje. Nie jest to w samem Zakopanem, lecz opodal.

To tam, gdzie mieszka Kasprowicz.

Wyprężyłem w tej chwili pióro, jak żołnierz karabin na baczność przed jenerałem. Onorate altissimo, altissimo poeta!

Wielki, jasny i promienisty, dusza, taka czysta, jak woda Dunajca, człowiek cichy i skromny, jak dziecko, jakby tem zażenowany, że jest tak wielki, przyjaciel wierny, kompan, że drugiego takiego na świecie niema, człowiek bez żółci i wątroby, Olimpijczyk, co w życiu praktycznem okazuje doświadczenie czteroletniego chłopca, furjat pracy, olbrzym ducha, prostaczek, który skłamać by nie umiał, gdyby o życie chodziło — to jest Kasprowicz, Jak tego

człowieka wszyscy bezinteresownie kochają, jak wielbią tę prostotę rubaszną, jak się ludzie do niego sercami garną, to może zrozumieć ten, kto to widział, bo jest to nie do wiary.

Teraz się przeniósł, ze Lwowa na stałe do Zakopanego i na jakimś trzecim kilometrze na drodze do Poronina kupił sobie dom nad wodą i tam “siedzi”, wśród Gutów i Mardułów Krwawych, czy jak im tam.

To jest dom? To wcale nie jest dom — to jest hotel, czy co u licha. Kiedy tam przyjdiesz, zawsze pełno. Kasprowicz ma przyjaciół na całym świecie, to też się z całego świata do niego ściągają, a bacia Kasprowicz u progu stoi, ręce rozkłada i uśmiechem się z każdym przełamie, jak chlebem. Tłumno, gwarno, wesoło; słodka niewiasta, pani Kasprowiczowa, jakieś biblijne sztuki robi, aby z pół metra kielbasy zrobić kilometr, bo towarzystwo zwykle jest żarłoczne. Ja należałem do najgroźniejszych. I tak wciąż i tak wciąż. Każdyby trochę zwarjował, a w tym domu się radują. Jest już dziesięciu Polaków, jakieś inne nacje, ba! nawet Bułgar. Ha! To za mało!

Za pięć minut nowe sanki: to gazda z gaździną z Poronina “z wizytą” do sąsiada. Kielbasa się wydłuża, chleb się rozrasta, a Pan Bóg się uśmiecha, że może temu drogiemu człowiekowi nowym się przysłużyć cudem.

Są wszystkie poety, wszystkie malarze, wszystkie muzykanty. I jest dobrze, A najlepiej, że jest nasz wspólny przyjaciel, choć nasz wydawca Władysław Kościelski. Pan Bóg robi cudy, ale rzadko, on zaś niezawodnie potrafi przedłużyć tę mistyczną kielbasę w nieskończoność. Porządny człowiek, szlachetny poeta. Niech ma zawsze wszystkie nakłady wyczerpane!

Kasprowicz urządza, dom. Dom na “Harendzie”, bo tak się to nazywa “to” nad potokiem; ażeby tam trafić, trzeba się kierować wedle wszystkich gwiazd i wedle jednego mostku.

Dużo widziałem w życiu wesołych komedyj, wiele widziałem szalonych miłości, ale ani mąż żony, ani matka dzieci, ani skąpiec złota tak nie kocha, jak Kasprowicz tę swoją “Harendę”. Kupił ściany i dach, a teraz ho! ho! — pałac, zamek, kasztel, wspaniałość, Wersal, Eskurial, Alhambra, Sprobój Kasprowiczowi powiedzieć co innego, to jak jest łagodny człowiek, to chyba się rozplacze. Więc rzecz prosta, że niema na całym Podhalu piękniejszego domu, chyba w Paryżu, ale i to niepewne. Zbrodniarz jest i zgoła zwykły łajdak, kto tego nie widzi.

Teraz Kasprowicz zwozi deski, kupione za tom .przekładów poetów staroangielskich, o czym zresztą sprzedający góral chyba nie wiedział.

— Bo to uważasz, — powiada, — nie koniec, słodki panie. Będę budował hall.

I patrzy podejrzliwie, jakie wrażenie robi “hall”.

— Hall? Słusznie! Każdy zamek angielski ma taki hall...

Kasprowicz ma łzy w oczach, że będzie miał hall. Laską będę bił po głowie każdego przez cały dzień, kto by przeczył, że to nie będzie najpiękniejszy hali świata.

Potem bierze latarnię i wiedzie cię po drabinie na strych; z miłości dla najdroższego poety udajesz, że ci to niesłychaną przyjemność sprawia, że raz się okiem nadzieles na wystającą z dachu deskę i że właściwie latarnia jest niepotrzebna, gdyż za każdym krokiem uderzasz głową o belkę, albo o komin, co zaraz zapala starym zwyczajem świeczki w oczach.

— Ach, jak tu wygodnie! Tak powiadasz.

A On na to:

— Tu będą gościnne pokoje. Dwa!

To “dwa” brzmi, jak fanfara, kiedy król wkracza do swojej stolicy.

— Aż dwa?! — zdumiales się.

— Oczywiście, słodki panie! Gościnne!

Pan Bóg ciężko pokarze tego gościa, który tam będzie mieszkał i który nie będzie zachwycony.

Potem cię wiedzie na “podwórzec”. Stoją tam dwa drzewka, które wiatr posiał.

— To moje! — powiada Kasprowicz.

Posiada on komandorski Krzyż Polonji, oficerski Krzyż Legji Honorowej, ale gdyby za to mógł mieć trzecie drzewko, — sprzedałby order.

— A to co? — pytam, — ta buda? Kasprowicz się zasępił.

— To sąsiada, — mówi nagle szeptem. — Ale ja to kupię!

Cudowna chłopska poznańska dusza w Jego Magnificencji, kiedy o ziemię idzie, nie popuści.

I zaraz plany.

— Tu, uważasz, będzie stajnia, tam to, tam owo. Tu się zasieje, tam ogród, tam ścieżki.

Mówiąc to wszystko, patrzy ci jednak to genialne dziecko niespokojnie w twarz. Coś jest w nieporządku, ale nie wiesz co? Czegoś nie zauważyłeś, a to wyraźnie martwi dziedzica. Ach! Jest!

— Mój Boże! — wołasz, — żóraw!

Pana Kasprowiczowe oblicze rozjaśnia się ja słońce; jest dumny i szczęśliwy. Bo z tym żórawiem to cała awantura: jak Zakopane Zakopanem nikt ni widział tam studni z żórawiem, a on ma żórawia. ...

— Żóraw! Ha! Co?! W Szaflarach już są, tu nigdy. Ludzie się dziwili, ale przywykli.

— Pyszna studnia!

— Siedem i pół metra!—krzyczy już Kasprowicz.

— Boże drogi! — chwyciłem się za głowę, — aż taka głębokość!

— Z takiej głębi widać już gwiazdy w dzień... — mówi z równie głębokiem, jak ta studnia przekonaniem nasz przyjaciel, obecny przy tem.

Gwiazdy widać!

Gdyby w tej chwili spadły na tego cudownego poetę największe godności, nawet by na nie nie spojrzął wobec tego, że z jego otchłannej studni widać gwiazdy. Jestem przekonany, że niewątpliwie czeka wiosny, aby wleźć do studni i zobaczyć gwiazdy. O, niech je zobaczy! Największe, najpiękniejsze, najbardziej djamentowe!

Więc uradowany, szczęśliwy i dumny, prowadzi nas do domu. Po drodze zaś:

— Uważajcie, przy drzwiach jest straszliwie zły pies!

Więc się okropnie boimy, tymczasem bałwan pies, widząc literaturę, najwyraźniej się uśmiecha i merda ogonem. Daję mu znaki, aby był wściekły, aby wpadł w szał, aby bronił domu, bo “jest strasznie zły, z tych najdzikszych”, — tymczasem ta psia mać dalej się uśmiecha. Kopnąłbym bydlę.

— Dziś jest jakiś wyjątkowo łagodny... — powiada poeta, trochę zawstydzony.

— To pogoda tak działa, — mówię, rzucając “dzikiemu” psu dzikie spojrzenie.

A ten szczyrzy zęby, psia krew!

U Kasprowicza nawet pies nie potrafi być zły. Taki to już los.

A w tym domu, w cudownym tym domu mieszka słońce i pogoda, wchodząca przez okna i drzwi, bijąca z tego wielkiego serca, namalowana na obrazkach a najwięcej jej ukryto w tych tysiącach ślicznych starych książek, które są największą dumą Kasprowicza, Wygrzebywał je z pyłu, od żydowinów wynecał, Świętokrzyską ulicę wydeptał i zgromadził sobie skarbczyk nadzwyczajny.

A książki te, jakby żywe, kiedy na kominku napalą, złotymi oczyma liter, na skórze wyciśniętych patrzą w dobre, dziecinne oczy tego człowieka, który je kocha ponad wszystko i nowe tworzy, takie, co serdecznymi, pełnymi niezmiernej miłości śpiewają głosami.

Niech je pisze na tej swojej Harendzie, gdzie skrzypi żóraw, niech pisze, jak najdłużej.

Taki jest szczęśliwy, że się ciągle uśmiecha i podśpiewuje sobie, dziwnie fałszywie. Ze śpiewaniem jest gorzej.

Dla użytku historii i przyszłych Kasprowicza biografów muszę dać zwięzły temat do rozdziałów pod tytułem: “Wielki poeta, jako śpiewak, gracz w karty i opowiadacz wesołych anegdot”. Kiedy dziecięca i jak górską wodą, tak czysta, dusza Kasprowicza jest ponad ludzką miarę wesoła, wtedy wielki pan Jan — śpiewa. Mdleje wtedy w niebie święta Cecylja a za

brzuchy trzymają się z wielkiej uciechy święci pańscy. Kasprowicz umie tylko jedną piosenkę, t. zw. “Żydowski krakowiak” — zaczynającą się od żydowskiego zaklęcia: “Nie wierzaj go, nie kochaj mu!” — a kończącą się straszliwym bełkotem zepsutej kobzy: “truduruduru!” Śpiewa ją od wielu lat nieustannie ku ogromnej swojej radości. Zapewne jest przekonany, że jest to najzabawniejsza piosenka świata.

Kasprowicz śmieje się rad i tak serdecznie, z takim przejęciem, też jak dziecko. Kiedy jest w zacnej kompanji, której wszystkie serca lgną do niego, lwiąt się wydaje radosny i wszystko dokoła się uśmiecha. On, jak Marchoła, a dokoła niego dworzany beztroskie, co widząc jak go wszystko cieszy, wysilają wesołość poetyckiego serca, które się śmieje w głos, a jednak on zawsze najgłośniej się śmieje. I od lat dwudziestu z niesłychanem przejęciem opowiada jako najświeższą, najwspanialszą, rewelacyjną — jedną anegdotkę o dwóch żydach, co to dokądciś tam jechali i prowadzili chytry dialog. Słyszałem ją pięć tysięcy razy, ale ciężko by mnie Bóg pokarał, gdybym się za każdym razem nie śmiał głośniej leszcze, niż poprzednim razem.

Wołasz: “ach świetne! ach, nadzwyczajne! cudowne!” a tego olbrzyma ducha, tego poezji purpurata, któremu troska wieczna i zaduma wielkie dwa guzy zbudowała na wspaniałem czole, jakgdybyś w tej chwili wsadził na sto koni, taki jest dumny, że tak wyborną opowiedział fraszkę.

Rad też rymem fraszki sobie robi o tem i o owem. Kiedy go demon jego poezji na moment wyzwoli i na ziemię mu zejść nie broni, — Kasprowicz bawi się rymem wesołym, jak szklanicą inni. Gada wierszem przypowiadki, swywoli nim i w głos się nim śmieje, W takiej wesołości dnia powszedniego powstała fraszka, którą do wspaniałego swojego “Marchoła” potem wraził, fraszka pyszna, w której, jak Zagłoba o sobie powiada, “wnętrznosci nieco rebelizowały”, zaczynająca się od słów:

“Mędrzec stary, ale jary
Nie wiedział, gdzie są Szaflary...”

Sam wielkiem w życiu dzieckiem będąc, dzieci nadmiernie kocha; weźmie czasem malutką wnuczkę swoją, Ewcię, na kolana i godzinami wierszykami z nią gada. Ewcia, śliczny bąk, nie wie, jaki to wielki poeta igraszki wierszowane dla niej czyni, kiedyś się o tem dowie i przypomni sobie taki wierszyk bez końca na nutę: chodziła czapla po desce..., kiedy to taki strasznie dobry pan, z czupryną o miękkości jedwabiu, gadał do niej:

Ewa, Ewa, Ewa,
Chodzi koło drzewa,
I wciąż sobie śpiewa,
A jej dziaduś stary,
Włożył okulary I gazetę czyta...

Nie wolno mi bez pozwolenia poety, a trochę ze względu na obyczajność, cytować tych fraszek, którymi rozradowana rubaszność Kasprowicza, po Reyu odziedziczona, wielbi życie, albo dzień słoneczny. Fraszka, zaczynająca się tak:

“Na ulicy Wareckiej,
Stała panna bez kiecki...”

opowiada tak dziwne przygody, że ich nie sposób powtarzać na sucho, bez wina i bez wtóru śmiechu literackiej kompanji.

Takiego rodzaju wesołego jest wysokiej, pysznej miary wiersz, który Kasprowicz napisał w odpowiedzi na ten opis Harendy, co się na poprzednich tej książeczki stronicach uśmiecha.

Wiersz ten nazwany “Z listów do przyjaciół i znajomych, o wszystkim i o niczem”, jest pochwałą zakopiańskiego żywota, a wśród niej taka z serca wylana inwokacja do przyjaciół:

“...Zacni literaci,
Przezacni artystowie! Każdy cechę płaci
Za siebie, a czasami, gdy się tak wydarzy,
I za swojego druha. Od wszelkich mocarzy
Mocniejsi i bogatsi od wszystkich bogaczy,
Druhowie moi drodzy!...

Jest w tym wierszu, sadzonym brylantami i miejsce ciemne, gdyż o mnie tam mowa. Są to najmilsze oszczerstwa, zemsty warte:

“...Kornelcio powiada, V
Że codzień go fortuna obejmuje rada,
Że chociaż jest żeńskiego rodzaju (— to znaczy
a Nie Kornel, lecz Fortuna!) — to jednak prostaczy

Zmysł jakiejś lafiryndy, by swego kochanka
Chcieć zdradzić, — jest jej obcy. Nie jest to przesłanka,
Że z za karku ta pani nigdy mu nie znika
I szepce, co ma zagrać: dwójkę trefl, czy pika?
Ot szczęści mu się: kilka dni temu, my oba,
Pan Kornel i ta moja skromniutka osoba,
o skóryśmy złupili gospodarstwa dwoje
Przemilych...”

Tu należy się historii ze względu na Kasprowicza wyjaśnienie, na temat trzeci: “Wielki poeta jako gracz w karty”.

Otóż skromne twierdzenie, że Kasprowicz potrafił kogokolwiek na świecie ograć, jest pustą przechwałką. Należy bowiem zdradzić, że Kasprowicza, najskromniejszego wśród wielkich, rozpiera duma niesłychana, kiedy mniema, że wybornie gra w bridge’a. Powiedz mu to, to choć obrazić się nie umie, ale się jednak obrazi. To jest pięta boskiego Achilla. W rzeczywistości dziecko czteroletnie bez najmniejszego wysiłku ogra Kasprowicza w karty, zaś Kasprowicz w bridge’a grający, jest to widok godny najweselszych bogów. Świat może się walić — jego to w tej chwili nie obchodzi, tak to celebrytuje; czupryną potrząsa, brwi marszczy, straszliwie groźnie okiem błyska,

I jowiszowe czoło mu się chmurzy. Ha! Myślałbyś, że ten człowiek gra w tryszaka z djabełem o duszę, albo o Harendę. Dziesięć razy każdej karty dotknie, dziesięć razy ją obróci — na wroga zażarty — wzrokiem chmurnym, a zwycięskim po obecnych potoczy i wreszcie, jak król, co koronę z patosem ciska, tak on ciska damę karową — najgorzej w świecie.

— Aj! — krzyczy partner z rozpaczy.

— Co? co? — woła poeta. — Ach, prawda, chciałem inaczej, tylko mi sama wyskoczyła. Oczywiście! Naturalnie!

I płakać się chce temu potężnemu bridżystcie. Każdy się uśmiecha z rozrzewnieniem, aby mu nie uczynić przykreści. A za chwilę poeta znów groźnie okiem toczy—i śmierć zapowiada wrogom i tak akuratanie zagra, że boki zrywać.

O, słodki, najmiłszy człowieku.

Taka jest koło niego jasność, taka dobroć nie do wyrażenia w domu jego mieszka, że jak do źródła po wodę ożywczą, tak się wędrowało do tej Harendy, pełnej słońca. Wędrowało?

Oh, tak! Pracą niezmierną zmęczony wielki poeta nieco zachorzał i kazali mu opuścić ten dom, który ma fundamenty ze złota, a ściany z błękitu.

Lecz jeśli poezja polska ma łaskę u Pana Boga, to rymem najpiękniejszym wyblaga to u Niego, aby jej syn najmilszy, Jan Kasprowicz, gazda na Harendzie, jak najprędzej do niej powrócił, tak na ciele mocny, jak duchem jest potężny.

LISTY Z KARLSBADU

I.

“Cudze chwalicie, bo swoje znacie!” — mógłby rzec czytelnik, po przeczytaniu tych “Listów”, gdyby był dowcipny, co mi się wydaje nie jakim nieprawdopodobieństwem.

Aby sytuacja odrazu była jasna, należy oświadczyć z góry i z dołu, że jeżeli cokolwiek chwalimy obcego, to czynimy to jedynie z nadmiernej dobroci serca człowieka szczęśliwego, który dlatego jest nad wyraz szczęśliwy, gdyż wszystko, co jest jego, jest piękne i nadzwyczajne, ponad wszelką pochwałę; więc resztką nabrzmiałego od radości serca chwali i cudze. Niech wiedzą sąsiedzi, że jesteśmy dobrzy i że choć u nas wszystko jest najlepsze i najdoskonalsze, jednak przyznamy i im niejaki zalety.

Zły to ptak, który kala atramentem własne gniazdo. To też raczej j bym złomił pióro moje, niżbym powiedział złe słowo o gnieździe swoim i zasmucił dobrych Polaków. O, nie! Tego ja nie uczynię! I chociaż Wisła jest to rzeka szaro—żółta, piaszczysta, złośliwa, za nogi w wiry swoje biednych ludzi ciągnąca, malarzą oddychająca, — któżby śmiał zwać ją inaczej niż “srebrną Wiselką”? I ja ją tak nazywam.

Chociaż zacyjny wieśniak żąda skóry mojej i ostatniej pary spodni za sześć jaj, a żony twojej i kilkoro dziątek za kurę, której się życie na wsi sprzykrzyło, zawsze mówimy o nim, oczy wznosząc ku niebu: „nasz kmiotek kochany!”

Zakopane, — choć się sam dobry Pan Bóg wzdryga, ile razy przez roztargnienie w jego stronę spojrzy, — niech będzie zawsze “uroczą letnią stolicą Polski”.

Niech każdy, — gdy mu się szczęśliwie umrzeć zdarzy, choć był za życia furfant, albo egoista obrzydliwy, albo cygan, albo ramol nieużyty, — będzie po śmierci w gazecie: “obywatelem dzielnym, co sterał siły w służbie kraju”. Widocznie tak trzeba. Nieboszczyk płaci grube pieniądze za ogłoszenie w kurjerku o swojej śmierci, więc mu się za to dobre słowo należy.

Wszystko niech będzie i śliczne i szanowne i dostojne i nieporównane. Zdaje się, że tylko wśród ludzi polityki nie znajdzie zastosowania ta szlachetna metoda wymienna na domowy użytek, bo czy to w do—, mu, czy na wynos za granicę, zawsze ten z naprzeciwka będzie łajdakiem Wysokiej próby, a ten z boku rzezimieszkiem grubego kalibru, kretyńcem, nie godnym, aby go święta polska ziemia nosiła.

Ponieważ jednak z konieczności —nie każdy upadł tak nisko, aby się zajmował tylko

polityką i mowa jest o sprawach wzniosłych, trzeba sobie powiedzieć, że wszystko, co nasze, jest doskonale i najlepsze na świecie i że tylko przyrodzona nam figlarność, rubaszny humor i roześmiana dobrotliwość, chcąc uniknąć szarzyzny i bitej drogi, sprawia, że we wszystkim jest fantazja i miła niespodzianka.

Na wielkim świecie wogóle jest głupio, bo się wszystko dzieje niemile precyzyjnie, bez fantazji, bez polotu, bez niespodzianek. Kupisz w Danji masło, I oto co kupiłeś? Tylko masło — czyste, nudnie żółte, jak złoto, zwyczajne masło. Doprawdy, że złość człowieka porywa. A u nas za to jest nawet z masłem zawsze wesoła i śmiech budząca historia. Kupiłeś masło od kmiotka i zaraz przechodzi cię miły, dreszcz rozkosznej ciekowości: co jest w tym maśle? Ileż potem jest śmiechu, kiedy myślałeś, że znajdziesz w nim gwóźdź, a znalazłeś tylko szkło, myślałeś, że papier, a znachodzisz, tarzając się od śmiechu, włosy 2 krowiego ogona, myślałeś, że ciężkie jest dlatego, że Wetknięto w nie ołów, a to tylko cegła. Do łez się można uśmieć.

Kupiłeś we Francji aeroplan. I co? I nic. Latasz sobie spokojnie i koniec. Niema nic nudniejszego pod —słońcem, jak taka nudna doskonałość. A jak sobie kupisz aeroplan domowej roboty, to aż oczy wytrzeszczasz z ciekawości, co się stanie? Myślisz sobie, że skrzydło cokolwiek jest krzywe i z nim pewnie będzie heca. I pomylisz się zawsze. Wtedy, kiedy zwracasz uwagę na skrzydło, zawsze odleci śmigła, a ponieważ rzecz się odbywa na wysokości dwóch tysięcy metrów, historia jest tem zabawniejsza. Nim umrzesz, masz do śmiechu dość długą chwilę.

Kupisz gdziekolwiek na świecie papierosa. Puszczasz go z dymem, masz jaką taką przyjemność i pochwili o nim zapomnisz. Czy po to jest papieros? Nigdy. Za swoje pieniądze należy ci się coś więcej! I więcej dostaniesz w kraju. Już to samo jest serdecznie zabawne, że nigdy nie wiesz, czy w tym papierosie znajduje się korzeń jodły, czy liść buraczany, bawisz się więc smakowaniem i wesoło zgadujesz. I nietylko sam masz przyjemność, ale także potrafisz, paląc papierosa, bawić największe towarzystwo. Nagle bowiem zaczynasz się krtusić, dławić, rzeć i parskać. Robisz się fioletowy i wszyscy, nie wyłączając spadkobierców, patrzą na ciebie z prawdziwą przyjemnością. Zabawa jest ogólna i niefrasobliwa. To mi jest dopiero papieros!

Kupisz na świecie butelkę wina. Ach, jakżeż to łatwo! I cóż masz z tego za przyjemność? Na etykiecie napisano, gdzie się urodziło, kiedy, kto i za jaką cenę ci je sprzedał, I jakżeż to dla ciebie sensacja? Niesmakiem tylko napęlić może taka pedantyczna drobiazgowość na butelce, zawierającej radość życia... W kraju zaś, kiedy pijesz wino, to się najpierw przyjemnie zdumiejesz, że jest takie mocne i że widocznie zdrów jesteś, jak koń, jeśli po pierwszym łyku nie padłeś od razu trupem. Zaczem poznawszy, że wino to zrobione jest z mieszaniny nalewki na rodzynekach z kwasem siarczanym, masz chwile równie miłego

zdumienia i podziwu, że przemysłność ludzka takie rzeczy potrafi. Zastanowisz się, pomyślisz, podumasz, masz zysk moralny, jeszcze większy w chwili, kiedy w tobie wnętrzości po wypiciu tego wina oszaleją i ogniem się żrącym napęlnią, wtedy bowiem pojmiesz, że nieumiarkowania w picciu natura nie znosi. To cię może przywieść do opamiętania, podczas kiedy winem francuskim możesz się rozpić i utracić duszę a co gorsza — majątek.

Pojedziesz do jakiegokolwiek na świecie miejscowości kuracyjnej i odrazu twoja szczerą polską naturą w tobie rebelizuje i staje dęba. Czyś ty sprzęt, bagaż, walizka, czy Polak? A oni tam z tobą postępują tak umyślnie złośliwie, żeby cię zirytować. Czeka na ciebie zamówiony pokój, czeka wszystko, przymila się do ciebie i łąsi obłudnie. I to ma być życie? O, nie weźmiesz Niemce, czy Czechu na kawał Polaka! Polak wie, że w tem jest jakaś podrywka, jakaś intryga. Wobec tego wszystkiego jest jakiś nieswój i tylko straci zdrowie, zamiast, żeby się wyleczył. Nie można bowiem burzyć przyzwyczajzeń, nie można pętać burzy. Co to za sens, żyć bez irytacji, bez wzruszeń nagłych i silnych. Jakoś jednak w tej Polsce, mimo głupich gadań, jednak jest lepiej. Tu umieją znaleźć podniecie dla temperamentu, temat do rozprawy, powód do bitwy, “platformę” dla plotek, punkt zaczepienia do jadownej korespondencji w “Dzwonku lubartowskim”. Zamówiłeś pokój w Zakopanem, przyjeżdżasz, a w twoim pokoju dama mieszka i piersiami drzwi barykaduje. Ach, jakąż miłą przygodą! Śpisz w wannie, — czy to nie śmieszne? Obok jest jakiś przybytek, mocno niespokojny i szumiący wodą, więc marząc, masz poetyckie widzenia, że śpisz w dolinie, Jgdzie pachną kwiaty i szumią siklawy. Czy to nie ładne? Okradną cię za dwa dni i zostajesz w jednej bie—liźnie, daleko od domu. Cudzoziemiec miałby co do opowiadania na całe życie, a ty się tylko uśmiechasz wesoło. Złamiesz za trzy dni nogę, bo w mostku była dziura i umierasz z radości, gdyż sobie takim tanim kosztem przedłużasz urlop, Jednym słowem w polskim miejscu kuracyjnym żyjesz całą piersią, w ciągłym ruchu, wciąż podniecony, w wiecznej ciekawości, co ci każą zapłacić, roześmiany i szczęśliwy.

Ale to nie wszystko! Ha! W nieskończoność można mnożyć przykłady,, jak nudno jest na szerokim świecie, a jak bujne jest życie polskie, jak odmienne i w objawach swoich zgoła niespodziane.

Kiedy na tym utartym, szerokim gościńcu świata przyjdiesz do banku, za pięć minut wypłacą ci twoje pieniądze pod jednym warunkiem, że nie sfalszowałeś czeku. Aż się mdło robi... Tymczasem u siebie przeżywasz w takiej okazji momenty silnych wzruszeń. Masz przede wszystkim wiele czasu, aby się przypatrzeć życiu we wnętrzu banku: więc widzisz panienki nadobne, pijące herbatę, patrzysz z zazdrością, jak pan naczelnik oddziału czyta gazetę, a inny łapie wesołą muchę, która z nim igra; posuwasz się w kolejce, przed tobą

dziesięciu żydów, a za tobą jedenastu, kiedy zaś dojdiesz do okienka Sezamu, wtedy ci wesoły i bardzo uprzejmy pan powiada, że bardzo źle zrobiłeś, nie przyklepiwszy na czeku marki stemplowej za trzy i pół grosza. Co wtedy czynisz? Uśmiechasz się z własnego roztargnienia i biegiesz na miasto, aby kupić tę markę. Jesteś podniecony, co ci działa dobrze na trawienie. Pytasz policjanta, gdzie można kupić markę? Policjant nie wie, bo i skąd ma wiedzieć? Śmiejesz się sam z tego przypuszczenia, że policjant miałby o tem wiedzieć. Więc chodzisz od sklepu do sklepu, w jednym ci proponują musztardę, w drugim zalecają świeże śledzie, w dziesiątym trumnę, ale nigdzie nie mają marki. — Wreszcie znajomy twojego znajomego powiada ci:

— Niech pan spróbuje w tym sklepie naprzeciwno!

— Ha! ha! — śmiejesz się, jak opętany, — ależ tam sprzedają powidła!

— To nic! Raz jednak moja ciotka dostała tam marki.

Przypuśćmy, że wreszcie kupiłeś markę. Jak szczygieł wesoły, wracasz do banku, ale bank jest już zamknięty. Przechadzasz się tedy wesoło i wracasz nazajutrz po pieniądze, na które wydał ci czek twój przyjaciel. Znowu ogonek, żydy z przodu, żydy z tyłu, ale wreszcie z tryumfem wręczasz swój czek i przygotowujesz wielką tekę skórzaną na pieniądze.

Urzędnik uśmiecha się do ciebie przyjaźnie i powiada:

— Proszę pana, czek nie ma pokrycia...

Zataczasz się ze śmiechu; bo czyż to nie jest żartem wybornym posyłać kogoś do banku z czekiem, na który nie ma pokrycia? Każdy idjota dając ci czek, miałby w banku pieniądze, ale człowiek z fantazją robi zawsze dobre żarty.

Zdarza się jednak, że pieniądze są. Co czynisz wtedy? Wtedy zdejmujesz kapelusz, bo interes interesem, bank bankiem, a polska grzeczność grzecznością. Rozmawiasz z kasjerem, albo witasz się, głośno uradowany ze znajomym, bo to kopę lat i t. d., bo to góra z górą i t. d. Potem bierzesz kapelusz, który jeszcze jest i chcesz zabrać pieniądze, których już nie ma. Wobec czego przypominasz sobie, że się koło ciebie kręcił jakiś złodziejasek.

A już najśmieszniejsze historie wyprawiają poza Polską — na świecie, — kobiety. Ach, cóż za cudactwa, jakie fanaberje! W głowie się mąci od tych wynalazków tego niby “wielkiego świata”, od tych oszukańczych awantur. Bo pomyślcie: jesteś w Paryżu i idziesz się zabawić. Gdzieś z pod ziemi, czy też raczej z pod dywanu, zawsze wyrasta tam kobieta. Śliczna, — niema co mówić, — strojna, doskonale ubrana. Ale ci jest nieswojo. Muzyka szaleje, wino ciska “i siebie perły, światło szaleje i ludzie szaleją. A kobieta bez wstępów, bez zenady, bez przygotowań postępuje z tobą tak, jakby cię znała od stu lat; sypie dowcipami jak z rękawa, choć modna jej suknia jest bez rękawów, śmieje się, jak rozswawolone dziecko, ciska w ciebie

kwiatami i powiada, że cię kocha, że cię uwielbia i że cię zaraz na dowód tego ucałuje w same usta. Bledniesz, wzdrygasz się, dusza w tobie staje dęba, a taka cudzoziemska małpa całuje cię i w istocie i w usta i mówi: ach, mój drogi Polaku! — albo jeszcze gorzej. I każe ci się bawić, śmiać się i szaleć. “ Cóż to, u Boga Ojca, za zwyczaj! Jakieś szaleństwo nagminne padło tym ludziom na mózgi, jeśli kobieta czyni takie rzeczy i wszyscy się tem bawią. A już najgorsza podrywka musi być w tem, że taka pani niczego za to nie żąda; płacisz piwo, niech będzie piwo; kupujesz szampana, niech będzie szampan, — tem lepiej. Jeśli jednak kupisz różę za pół franka i ucałujesz ją, zanim ją ofiarujesz, to też nie będzie najgorzej. Musi być w tem jakiś podstęp, lub co najważniejsza, że taka pani może myśleć, że Polaka nie stać na co innego, jak na wąż różę i tęgą miłość!...

Szczera, otwarta i jasna natura kobietki polskiej, inaczej załatwia takie sprawy, o, inaczej! To nie pusta głowa, płocze serce i dowcip na języku, — to powaga, smętek, melancholja, małomówność pełna wielkiej treści, zaduma, godność, dostojęństwo, poczucie swojej kobiecości, górność i inne rzeczy piękne, A oto pokaże ci to wszystko, nie jakaś hrabina, którą nauczyli wysokiego stylu życia, lecz każda mała dziewczynka, — tak bardzo jest to wrodzone naszej naturze, Patrz i podziwiaj;

Zapraszasz na kolację Stellę Kartofel, chórzystkę opery.

— Cóż to pan sobie myśli, że ja chodzę po kolacjach?

— Ach, najmocniej przepraszam! Może jednak panna Stella zrobi dla mnie wyjątek. Znam jedną taką miłą knajpę...

— Może insze chodzą do knajpy. Jak pan już tak bardzo chce, to do gabinetu.

Idziesz do gabinetu. Jesteś dumny, że ta dziewczyna z ludu zna tak najwyższe piętro życia i że tak bez wysiłku umie zerwać kwiat z rozkoszy wytwornej i nadobnej. Patrz! patrz! Dziewczę zachowuje się, jak hiszpańska infantka. Siedzi, jakby na przekąskę zjadła kij, nie mówi nic, tylko się wciąż przegląda w lustrze. Twoje pomysły, aby ją rozbawić, przyjmuje z litościwym uśmiechem pogardy. Zaczynasz ją wielbić coraz bardziej. Ależ to księżniczka, nie młoda dziewczyna z chóru.

Przeto ci oczy wychodzą na wierzch ze szczęśliwego zdumienia, kiedy to najmilsze stworzenie wyda z siebie wreszcie głos i kiedy mówi:

— Niech będzie kawior, ale ja lubię tylko z cebulą, potem taki ptak, co ma długi ogon i z ogonem go podają na półmisku i to wino, co tak uderza do nosa, że aż kręci...

Ach, cudna, wytworna prostoto! Kwiecie ziemi naszej! Piosenko, wyśpiewana przez mazowiecką równię! Rozrzewnieniem napęła się serce, że W ludzie jest tyle poczucia honoru, tyle szlacheckiego gestu, taka pańskość nieświadomiona, Niemka pije piwo,

Francuska kieliszek koniaku, — mały! — a to dziecko dumy i godności pragnie kawioru, Bazanta i szampana. Czyni to z taką niewyszukaną prostotą, że się słabo robi. Jakież skarby duszy ukrywać się muszą w sercu tej kobiety, jeśli takich skarbów pożąda jej żołądek! O, tak!

Przeto jesteś onieśmielony i szczęśliwy. Oto dotknąłeś z nadmiaru uczucia jej ręki, a wtedy duma tej dziewczyny osadza cię, jak rumaka wędzidło:

— Czy się pan wścik, czy co? Ja jestem uczciwa dziewczyna i na byle kolację mnie nie weźmie— Już takich widzieli, ale głupi wyjechali do Ameryki!

“Jaka godność! jakie wzięcie!”. Hrabina! Ucztuje tedy z wami powaga i milczące, wielkie szczęście.

Oto są te wielkie, niepomierne różnice, któremi górujemy nad całym światem. Drobne jedynie przytoczyłem sprawy, aby tem łatwiej jasno się stało, że w wielkich jeszcze pewniej własną kroczy drogą. Nie tą drogą, utratą, po której jedzie, jak po relsach, koleją nudną, żelazną, niezmienną — stara lokomotywa Europy. O, nie! My na skrzydłach, z wichrem z burzą!

Dlatego wielbić trzeba wszystko swoje; bo cudze tylko na pierwszy rzut oka, obejrzone powierzchownie i tylko ludziom powierzchownym wydać się może wygodniejszym. Ha! ha! Wygodniejszym — to dla ciała, ale cóż zostanie dla ducha, co zostanie dla fantazji. Nic.

A swoje wszystko urodzone jest z fantazji i stąd pochodzi ten niezmierny wdzięk swojszczyzny; ta radość maskarady życia, w której się wszystko wesoło przeinacza, gdy bank jest salonem, hotel Luna Parkiem, pełnym niespodzianek, teatr uroczystym domem przedpogrzebowym, a dziewczyna każda — hrabiną.

Jest to miłe i piękne i godne opisu.

O tem myślę zawsze, jadąc za granicę i duma rozpiera serce moje. To też jeśli opiszę tu zwyczaje czeskiego kraju, to tylko dlatego, aby jasno wykazać przez porównania jak wysoko, gdzieś na obłokach buja życie nasze, a jak nisko, po ziemi chodzą inne ludzie.

Oby ich Bóg oświecił...

II

Na razie nie zdają oni sobie z tego sprawy, przeto oświecenie ich pod tym względem nie będzie bez pożytku. Trzeba być apostołem pięknego gestu i przyjemnego szaleństwa, inaczej bowiem dusza świata stanie się doskonałą maszyną, co nas tak zrazi do świata, że mu wypowiemy przyjaźń. Wtedy świat się z rozpaczy zastrzeli.

Na tym złym świecie wszystko jest inaczej, niż u nas. Ci ludzie robią nam wyraźnie na złość. Podpatrują, jak to my cokolwiek robimy i w tej chwili robią to samo, tylko naodwrot. Jest to irytujące i zawsze bardzo mnie niecierpliwi, bo wiem, bo jestem przekonany, że wszystko swoje jest najlepsze, wybornie obmyślane i zajmujące. I wszystko ma swoją rację, którą przy dobrej woli można wynaleźć i nawet się nią zachwycić, lecz ta przekłeta natura polska wszystko gani, wszystko krytykuje, wszystko jej nie w smak.

Nie mówię o sprawach wielkiej wagi, bo tych nie dotykam, wiedząc, że wielka budowa nie jest rzeczą łatwą. Ale pożartujmy sobie nieco z małych spraw. To chyba wolno.

Otóż, wracając do rzeczy, złośliwość naszych sąsiadów w przedrzeźnianiu nas, jest mocno irytująca; i do czegoż ona prowadzi? Do psucia sobie krwi.

Jedziesz na ten przykład do Czech, bo ludziom czasem przychodzą do głowy najmniej prawdopodobne pomysły. Na granicznej stacji polskiej każą ci wysiadać z wagonów z dziećmi, z tobołami, z tłómkami i z żoną. Pada deszcz. Temu jednak nie jest winien rząd, pada, bo mu się tak podoba. Rozespane dzieci płaczą. Robi się rwetes. Czemu? Czy rząd ci kazał płodzić dzieci? Czy ci w tem minister pomagał? ‘ Czemu zresztą pozwalasz dzieciom spać w drodze, zamiast kształcić w nich poczucie pięknego krajobrazu i pomnażać w nich przez pogadanki miłość do ziemi rodzinnej. Otóż pretensja!

Przestańmy narzekać i idźmy spełnić obowiązek, który polega na tem, żeby pokazać paszport i bagaże. Na paszporcie jest zmięta twarz, w walizce zmięte spodnie, — razem nic nadzwyczajnego. Trwa to króciutko, — godzinę, czasem dwie. Po co tyle krzyku? Biedni urzędnicy na stacji granicznej nudzą się od pociągu do pociągu, więc mają tę małą rozrywkę, że zobaczą ludzkie twarze, pogadają trochę, ujrzą dzieci, za którymi przepadają, dotkną damskiej bielizny,—któż więc będzie— żałował krótkiej godziny z długiego swego życia dla miłego chłopaka, co się bawi, wywracając —ci w walizce spodnie do góry nogami, albo kapelusz do góry głową?

W tem zresztą, co się płytko myślącemu człowiekowi wydaje zaraz krzywdą, niepotrzebną szykaną, marnowaniem czasu, irytowaniem uczciwych obywateli, — och, jak

łatwo o wymyślania! — ukrywa się myśl głębsza, intencja zacna i piękna. Wszak jedziesz na obczyznę, do obcych ludzi, którzy — o, chytróści! — będą ci nadskakiwali na każdym kroku, aby cię skaptować, rozczulić i wzruszyć. Możesz łatwo zgubić swoją duszę prostą i uczciwą; możesz — o, nie daj Boże, — zapomnieć o rodzinnym kraju, możesz nawet nie odczuć tęsknoty za nim, za wierzbą płaczącą, za mazowieckim smętkiem. Myślał o tem, drżał zaś, myśląc ten, co kazał na granicy przypomnieć ci raz jeszcze, dobitnie i dotkliwie, że twój kraj cię. nie chce wypuścić, bo cię kocha. Nie ma nikt prawa zatrzymywać cię, jeśli cię coś pędzi do tych obcych, lecz ma prawo łagodnej perswazji, ' Każdy myśli zirytowany, że celnik na granicy dybie na jego sto papierosów. Nigdy! On niby szuka, niby wywraca wnętrze w twojej walizce, jak chirurg się w tem grzebie, ale jego niebieskie oczy patrzą w twoje oczy, dusza w duszę patrzy i ten celnik mówi bezgłośnie sercu twojemu:

— Po co pan wyjeżdża? Niech pan nie jedzie, panie najdroższy. . Chyba nam przyjdzie oczy wypłakać za panem... O, niech pan słucha, jak szumi las... To polski las! Niech pan patrzy, jak się niebo chmurzy na wschodzie. To polskie niebo!

Tak on mówi, a ty się zżymasz, bo dzieci płaczą, bo deszcz pada, a ty dźwigasz walizy, które dostały pomieszania zmysłów i żonę, która jest również od tego niedaleko. Cudzoziemcy klną, na czem świat stoi; tak, ale cudzoziemiec nie odczuwa wewnętrznej, duchowej wagi tej granicznej sprawy.

Celnicy są zwykle tak zmartwieni tem, że tylu miłych ludzi wyjeżdża z kraju, że oczy mają pełne łez. Nic dziwnego więc, że nie widzą przez łyzy, jak obok, przez zieloną granicę, jedzie zboże, świnie, gęsi, srebro, brylanty, żydy, wszystko bogactwo nasze. Któżby tam dbał o takie drobiazgi, wobec tego, że wyjeżdżają ludzie szlachetni?

Z drugiej strony patrzą Czesi i widząc co się dzieje na polskiej granicy, zaraz coś ze sobą poszeptają, poszwargocą, naradzą się i — robią na złość, robiąc wszystko naodwrot. Proszą uprzejmie, aby wszyscy zostali w wagonach, naiwnie się tłumacząc, że łatwiej austom urzędnikom wejść do dziesięciu wagonów, niż trzystu ludziom Wychodzić z tobołami do dwóch urzędników. To nie jest żadne tłumaczenie, jasnym jest, że robią to przez złość,

A jaki tego skutek? Niespodziany, okropny skutek! Ha! ha! Myślał chytry Czech, że ci nadzwyczajną uczyni uprzejmość, bo się pięknie uklonił, na paszport spojrział, a na walizki machnął ręką, Akuratnie! Zamiast przyjemności uczuwasz przykrość, nawet bardzo wielką przykrość, bo się wstydzisz, że Czesi widzieli, jak cię nie chciano z Polski wypuścić. I cóż ci z tego przyjęcia? O, jej! w całej Europie jest tak samo, więc nie jest to taki nadzwyczajny wynalazek. Wtedy dopiero się czuje, że jednak podróż przez polską granicę ma swój Urok, że daje mnóstwo wzruszeń, podnieca, denerwuje, burzy krew, zalewa żółć, podnosi na głowie

włosy, że jednym słowem, jadąc do Karlsbadu, gdzie słono za to płacić potrzeba, na polskiej granicy zadarmo się otrzymuje sposoby na zupełną i nagłą przemianę materji! Ludzie znudzeni i chorzy na spleen i na melancholję muszą jeździć po takie wzruszenia do Afryki, albo do Meksyku. A u nas masz to pod ręką. To przy wyjeździe. To drobiazg! Alą kiedy się powraca, to dopiero czyni się hosanna! Bożeż Ty mój! Urzędnicy tak się cieszą, jak dzieci. Rzucają się z płaczem na twoje walizki, ściskają je ze wzruszeniem, ze śmiechem, z miłością. Wzruszeni podróżni mają łzy w oczach...

Rozpoczynają się wtedy wesołe igraszki i najmiłsza zabawa, Ktoś sobie kupił piękny krawat i doskonale go schował, a uradowany powrotem dobrych ludzi już i tak z natury wesoły celnik, postanowił go znaleźć. On szuka, a ty sobie pomrukujesz wesoło: “Zimno!.., ciepło.., znowu zimno!... ciepło!... ciepło!., gorąco!..”. Śmiesznie jest tak, że ludzie zrywają sobie boki. Trzeba bowiem wiedzieć, że w każdym człowieku siedzi gdzieś w najgłębszym ukryciu odrobina rzezimieszka, co chce dać folgę swoim nieużyтым temperamentom przez to, że “nabiera” państwo na pięćdziesiąt groszy cła. Żaden też sport nie jest tak lubiony i żaden nie jest tak mile podniecający, jak walka z celnikiem na chytróść. Tak też zabawne jest to szukanie krawata, albo lalki z gałganków (na grubsze rzeczy są sposoby!), że zabawa robi się ogólna. I znów wśród śmiechu nikt nie widzi, że obok jada bez cła sterty kartofli, całe rody świń i len i konopie.

Najśmieszniejsze jest to, że prawdziwy Polak, którego przyłapią z jakimś drobiazgiem na granicy, buntuje się w duszy i jest rozżalony, ba! jest nawet obrażony na Ojczyznę, Na nikogo by się nie obraził, zakławszy tylko, że go prześladowuje pech, ale na swoją granicę zawsze się obrazi.

— Ha! — woła w sercu, pełnem żalu i goryczy, — to ja, tobie, Ojczyzno i krew i życie i mienie, a ty ze mną tak? Toś na to powstała, żeby człowiek kilku butelek koniaku nie mógł przewieźć od Czechów? Toż dla kogo to wiozę? Dla ciebie, dla swoich, dla rodaków...

Słusznie prawi w sercu swoim dobry taki obywatel, bo choć mu krew z nosa tylko pociekła, życia od niego nigdy nikt nie chciał, a mienie przepisał na żonę, jednak w dobrej duszy marzył cudnie, a srodze go zbudzono. Bo i jakże! Myślał każdy, że jak będzie wreszcie ta najdroższa Ojczyzna, to i napijesz się bracie, i weselić się będziesz i przez granicę przewieziesz, co dusza zapagnie, mrugnawszy porozumiewawczo na rodaka celnika i order dostaniesz i podatki ci podarują, boś chyba na to zasłużył, boś o Ojczyźnie śnił i pa—trjotą byłeś, A oto jawnie cię prześladowują, podatki ze skóry ściągają, ale to drobiazg. Tego nikt do serca bardzo nie bierze. Ale, żeby obywatela tak obrażać i dumę jego tak sponiewierać i tak zabijać w nim rzewną do kraju tęsknotę, żeby jednym słowem, rewidować mu na granicy

bagaze, — nie! — to się nie godzi. I kto to robi? Moskal, Niemiec? Nie! to robi Polak Polakowi, brat bratu, rodakowi rodak. To też od granicy do Warszawy jedzie w wagonie kolejowym olbrzymia ilość polskiego towaru: goryczy. Jednej pani kazali

Zapłacić za lalkę, innej za jedwabne szmatki, więc się baby rozelkały i ha j że na Polaków!

— I co to, moja pani, komu szkodzi? Wiozłam lalkę dla mojej Janeczki i mówię temu panu: Panie, to dla mojego dziecka! Moskal, moja pani, to by się wzruszył, a taki to bez sumienia i bez serca. Powiada: jak pani mogła kupować taką kosztowną lalkę w Marjenbadzie, to pani może zapłacić pięć złotych w Polsce! Jeszcze mi lekcję będzie dawał, taki bałwan. Ale u nas to wszystko tak, proszę pani, Z takim rządem co może być lepszego? Do ust niema co włożyć, a wszędzie szykany,,. Panią to także przyłapali?

— Przyłapali, bo się na mnie uwziął, taki jakiś młody.

— Taki to najgorszy...

— Pyta się, czy mam co do oclenia. Więc mu mówię: Panie, w Karlsbadzie mi pieniędzy na kurację zabrakło, za co miałam kupować? A on nic. Powiada: proszę otworzyć walizę,

— Co za bezczelność!

— Ale ja myślę sobie, że nie potrzeba takiego rozdrażniać, bo miałam w walizce parę nowych kawałków...

— Rozumie się...

— Więc mu powiadam: ja panu daję słowo honoru, że mam same stare rzeczy,

— I nie uwierzył? Nie, to niesłychane!

— No, widzi pani! I przeparałam i karteczkę z firmą zdjęłam i przysięgałam na wszystko, co święte, że to kupione u Hersego, nie uwierzył. Co za czasy, pani droga! Człowiekowi wstyd, że takie rzeczy mogą się dziać u nas. Wszędzie szwindel i protekcja. Czy pani wie, że tego pana, co tam siedzi, to wcale nie rewidowali?

— Nie może być! Co on, dyplomata?

— Ej, trochę jakaś podejrzana gęba... — I nie rewidowali?

— Przysięgam pani, że nie. Przyszedł do niego urzędnik i mówi, żeby otworzył walizkę, A on nic, tylko wyjmuje paszport i coś palcem tam pokazuje. Urzędnik czyta głośno: "Literat", potem się zaśmiał, machnął ręką i poszedł. Widzi pani? Takie czasy, że najgorsza hołota ma protekcję, a biedną kobietę do protokołu ciągną za dwa tuziny jedwabnych pończoch.

Takie są "długie, nocne rodaków rozmowy". Jedno mnie w nich ubodło: pogarda dla literatury. I to w chwili, kiedy w Karlsbadzie było około tysiąca polskich literatów. Może nawet

nie tysiąc, ale pięćset to było z pewnością. Naprawdę! Bo to było tak: paszport zagraniczny kosztował złotych pięćset, dla literatów i artystów — dwadzieścia. Pokazało się tedy, że każdy, co wyjeżdża za granicę, jest albo pisarzem, a bo innego kunsztu artystą. Na własne oczy widziałem damę, która miała brylanty wielkości największych kamieni żółciowych, żonę głośnego bogacza przemysłowego. Przyjechała do Czech z paszportem ulgowym, jako “literatka”. Nikt nie przypuszczał, że szlachetni Żydowie mają tak ogromną ilość twórców, których najwięcej wydała Łódź.

III.

Co do budowy fizycznej i psychicznej człowieka uczeni nie są w zgodzie; ja jestem zwolennikiem tej szkoły, która twierdzi, że organizm ludzki jest najjaskrawszem złudzeniem i chociaż się wydaje, że człowiek jest podobny do człowieka, jak dwie krople brudnej wody, tak jednak nie jest; wedle spostrzeżeń głębokich i trafnych, tylko połowa ludzi na ziemi posiada głowę, być może nawet, że odliczywszy dzieci, starców, kobiety i zgilotynowanych, tylko jedna trzecia. Jedna piąta ludzkości posiada duszę, serce posiada bardzo znikomą ułamek liczby zaludnienia świata.

Mniej więcej jednak zgodnie przyznają antropologowie, że wszyscy ludzie mają żołądek, żółć i wątrobę. Ponieważ zaś są to organy używane najczęściej i bardzo przez użycie niszczone, — w każdym razie niszczone przez wysiłek więcej niż głowa, — należało wynaleźć środki leczące.

Statystyka wykazuje, że połową rodzaju męskiego uległa manji przybierania sobie do boku żony. Wprawdzie konserwuje to serce, a jeszcze więcej żołądek, jednakże działa fatalnie i zabójczo na żółć i na wątrobę. Połowa ludzkości jest chora i musi leczyć te organy, podobno potrzebne do życia, inaczej bowiem ród ludzki musiałby zagać, bez odporności bowiem szlachetnej wątroby nie byłby zdolny człowiek do wytrzymania jednego dnia z kochającą i kochaną kobietą. Jak zaś specjalny bakcyl atakuje błony nosowe, jak inny wyspecjalizował się w atakowaniu jelit inny czegoś tam jeszcze, tak kobieta, zupełnie zaniedbując organy nierównie szlachetniejsze: mózg i serce, od wieków atakuje wątrobę. Nikt tej manji wytłómaczyć sobie nie umie. Najwięksi uczeni zadawali sobie pytanie, co może naturze kobiecej zależeć na tem, aby się w kimś rozlała żółć, albo żeby się w nim “zapiekła” wątroba? Dziwne! Dziwne! Już Grecy, którzy wiele I mieli do czynienia z kobietą, (wskutek czego zginęli marnie...) znali chorobę ciężką i dotkliwą, która się po grecku nazywa “melancholją”, co po polsku znaczy: “czarna wątroba”. Na chorobę tę cierpieli najczęściej poeci, rzecz prosta, jako ludzie najmniej odporni na kobiecą tyranję i w prostocie swego wielkiego ducha nie umiejący przewidzieć wszystkich jej zasadzek. Kobieta bowiem jest demonem, — ha! — którego natura stworzyła po to, aby regulowała przez systematyczne niszczenie nadmiar męskiej dumy i męskiej zaborczości. Demon działa tedy od wieków, przybierając rozmaite djabelskie postacie: więc była zbuntowanym aniołem, Amazonką, strzygą, czarownicą, poczem kurtyzana, Ksantypą, Messaliną, Teodora, zaczem poetessą, dewotką, powieściopisarką, damą od dobroczynności, telefonistką, daktylografką. Wielkie jej dzieje zmalowały i demonizm jej w kształcie dzisiejszym

wyraża się w czynności uporczywej, zawziętej, nieustannej, bolesnej, w skutkach okropnej, w czynności powszechnej, zwanej popularnie “wypróbowaniem flaków” z łagodnego człowieka. Amazonką, opierającą łuk o pierś, umyślnie i perfidnie okaleczoną, aby móc to czynić wygodniej, dziś zajęła by się policja; więc Amazonka nie robi już sobie niepotrzebnej krzywdy, piersi nie tylko sobie nie obcina, ale raczej ją sztukuje i nie używa siły, lecz łagodnego podstępku, na który cała policja świata nie poradzi: gryzie w tobie wątrobę.

Przerażeni ludzie poczęli tedy szukać rozpaczliwie leków cudotwórczych, jakichś minerałów, jakichś ziół, jakiejś wody, aby ten organ nieszczęsny ocalić. Dobry Bóg, który wreszcie miał już dość tego gryzienia swojego tworu, tak pokierował sprawę, aby człowiek mógł znaleźć to, czego szukał, zrozpaczony.

Niemal na cud to wygląda, że goniony jeleń wpadł do źródła gorącej wody, aby ten cesarz, co go niósł, mógł wpaść na myśl, że coś musi być dobrego w gorącej wodzie. Uśmiechem tego cudu jest to, że lekarstwo dla nieszczęsnego mężczyzny znalazł — jeleń, jego piękny brat.

W ten sposób zostały wynalezione słynne źródła przez cesarza Karola IV, co mógłby poświadczyć tylko ten zwarjowany jeleń, który się chciał żywcem ugotować i przysiąc na rogi, że to wszystko prawda. W każdym razie jeleń jest świętem zwierzęciem Karłowych Varów, jako bohater legendy. Każde wogóle uzdrowisko powinno mieć taką legendę i takiego herbowego zwierza, tylko ludzie mają mało pomysłów.

Możnaby skomponować śliczną legendę o tem, jak np. za Kazimierza Wielkiego żydy goniły dzikiego barana, aby go ugotować dla Esterki; gonią go, dmąc w rogi, nagle baran zapada się i rzewnie beczy. Przybiegają żydy, i napinają kusze, a baran na to, płacząc, ludzkim powiada głosem:

— Nie zabijajcie mnie, synowie Izraela, bo wpadłem w borowinę, w której się będą kąpać wasze córki.

Możnaby przemycić do starych legend o Podhalu taką piękną legendę o tem, że kiedy pod Giewontem zbójnicy pędzili tucznego wieprza, aby go srodze zamordować i smacznie spożyć, wieprz nagle położył się w tem miejscu, gdzie dziś w Zakopanem są Krupówki i zakrzyknął:

— Tu zostanę i tu się rozmnożę!

To rzekłszy, założył pierwszą w Zakopanem restaurację, a zbójnicy w trwodze uciekli.

Jeleń Karłowych Varów jest stworzeniem pięknym i dekoracyjnym; stoi na wyniosłym wzgórzu, ponad miastem i patrzy z uśmiechem, jak w jego Sprudlu lecą się ludzkie jelenie, trąc ze zmartwienia głowę.

Kto odkrył Karłowe Vary, cesarz, czy jeleń, czy obydwaj razem, jest to wcale obojętne. Dobrze zrobił jeden z drugim, że je odkrył w dzikim lesie, wśród wzgórz i dolin.

Cóż jednak z tych romantycznych źródeł zrobili ludzie? Oto w tem miejscu wydaje mi się, że trzeba wysławić poezję polskiej natury! Okolica jest piękna, lasy, rzeka, mgły pod wieczór, stoki, skały, urwiska. Gdyby to było u nas, było by śliczne! Stała by drewniana buda w jakimś rzewnym stylu, rzeka wylewała by na wiosnę, a wiadomo, że rozlew spienionych wód jest śliczny, w lasach napadaliby zbójnicy, jak Hrabiego pod Birbante Rocca, cudotwórczą wodę piłoby się czapkami, nie byłoby łazienek, bo to nie ma sensu, jadłoby się szyszki, bo nic innego by nie było, nie byłoby elektrycznego oświetlenia, bo od czegoż właściwie jest taka cudowna lampa niebieska — księżyc, — ale za to byłoby pięknie, romantycznie, cudownie.

I dlatego przyjeżdżający do Karłowych Varów Polak ma minę nieswoja. Jest mu przykro. Jest skrępowany i przykro zdziwiony. Ci Czesi i czescy Niemcy jest to naród, nie umiejący zachować bujnego piękna przyrody i oto patrzcie, co porobili z tego Karlsbadu, z tych Karłowych Varów!

Czysto tak, że oko nie ma na czem spocząć. Znudzony tą czystością, oceniłem dopiero wtedy z rozrzewnieniem serca widok głównej ulicy w Zakopanem, przy której stoi kilka kozich stajen. Co u licha! Idziesz lewą stroną ulicy, bo tak ci się właśnie podoba, a wtedy podchodzi do ciebie taki pan w mundurze i wskazuje ci stronę prawą, która się jemu podoba i co najgorsze, musisz tam pójść, bo ci zrobią skandal. Boże miły! ? W Zakopanem krowy sobie chodzą po Krupówkach, tędy i owędy, zaglądną do sklepów, dziwną się, cieszą się miłe stworzenia, tak, że się na to patrzeć musi z rozrzewnieniem, a tu ludziom, — ludziom! — nie wolno chodzić, którądy chcą.

W Krynicy możesz sobie rozpaść ognisko na środku „deptaku i wszyscy z przyjemnością powitają miłą rozmaitością; w Cieclocinku z każdego żydowskiego domu wylewają mydliny na środek ulicy i nic to nikomu nie szkodzi. I słusznie! Jak może komu co zaszkodzić w miejscu, gdzie się sprzedaje zdrowie? A tu? Aż mi wstyd powtórzyć, ale mnie się to właśnie wydarzyło. Niedaleko od źródła zapalam na ulicy papierosa. Zapłaciłem takse kuracyjną, jestem gościem i swoim panem. W tej chwili wyrasta z pod ziemi policjant i bardzo mnie prosi, abym w tej chwili papierosa zagasił, bo dookoła jest tłum ludzi, którzy się leczą i którym może to zaszkodzić, że ja palę.

Czyście słyszeli? Ten człowiek śmiał to powiedzieć mnie, mnie, który widziałem na własne oczy, jak w Zakopanem pędzą ulicą stado baranów, kurz się robi taki, jaki się podniósł na pustyni, kiedy żydowie uciekali z Egiptu i trzech suchotników, leżących na werandzie,

zjadłszy tego kurzu ilość niezmierną, do wieczora przenosi się na tamten świat, ponad Tatry, na Niebieski Grzebień...

A tu gościom szkodzi zaraz dym z mojego papierosa...

Jakżeż więc Polak może się czuć dobrze wśród tych nieznośnych rygorzystów? Rzucisz gazetę na ulicy, każą ci ją podnieść i wrzucić do kosza. Wysunąłeś się o jedną osobę w kolejce, idąc do źródła, zaraz o to taka awantura, jakbyś kogo przeskoczył w awansie. Żeby sam prezydent Masaryk stał w kolejce, to by mu taką samą zrobili awanturę. Jakież nieuprzejmy naród! Aż żal biernie. U nas każdej panience zaraz robią miejsce w kolejce, jeśli się uśmiechnie, a oficer to już nawet nikogo o pozwolenie nie pyta, tylko cię wyprzedzi u okienka przy kasie kolejowej, bo się śpieszy... pewnie na wojnę.

Po dwóch dniach pobytu w Karłowych Varach jesteś rozstrojony i na duchu opadły. To to życie bez fantazji zabije cię swoją niepomyślnością, brakiem wszelkich pomysłów ekscytujących. Ile razy jadę w Warszawie dorożką mam zajęcie, nie jadę bezmyślnie; więc najpierw staram się odczytać na plecach dorożkarza jego numer, na wszelki wypadek, bo może być awantura; potem rozmyślam długo, ile zapłacić? Czy być odważnym i zapłacić według taksy, czy lepiej nie ryzykować? Boję się, jestem człowiek spokojny i płacę dwa razy tyle, co pocziwego dorożkarza wprowadza w szal i chce mnie bić. Jestem podniecony, wołam policjanta, uciekam, bo się robi zbiegowisko, dobrzy ludzie krzyczą: "burżuj przeklęty, jachać, to jadzie, a biedaka potem krzywdzi!" — mam co opowiadać przyjaciółom — jednym słowem, przygoda jest przyjemna i zajmująca. A u tych nudnych Czechów? Oj, flaki z olejem... Pytasz dorożkarza: "Ile?" — "Tyle i tyle..." — "Proszę!" — "Dziękuję łaskawemu panu?..." . I koniec. Wybornie można tu studjować obyczaje i dojść do wniosku, że nigdzie na świecie obyczaje nie są miłsze i bardziej urozmaicone, niż u nas.

Jeszcze dam jeden przykład, aby się ludzie mogli zdumieć fantazją naszego życia i jego bujną barwą.

Chodźmy do sklepu.

W Warszawie:

Wchodzisz unізony, zdejmujesz kapelusz i grzecznie prosisz, aby pan kupiec był łaskaw sprzedać ci spinkę do koszuli. To wprawdzie drobiazg, ale konieczny.

Pan kupiec patrzy na ciebie, jak detektyw na rzezimieszka. Czytasz w jego wzroku:

— Po spinkę wchodzisz, zwierzu jeden, do mego porządnego sklepu? To ja myślałem, że kupisz dwanaście cylindrów i laskę ze złotą rączką, a ty po spinkę?... Masz, masz, udław się.

Pan pomocnik pana kupca wysypuje ci na stół tuzin spinek. Wybrałeś. Zapłaciłeś. Kasjerka nie ma reszty ze złotego, jeśli kto płaci dziesięć groszy, bo uczciwy człowiek nie kupuje za dziesięć groszy...

Kłaniasz się grzecznie, jesteś zawstydzony, wychodzisz chyłkiem. Nigdy już nie wrócisz do tego sklepu, bo się wstydzisz, bo się boisz i jesteś skompromitowany, Ha!

W Karłowych Varach, albo w Pradze:

Przychodzisz do wspaniałego sklepu. Otacza cię gromada pomocników wielkiego kupca. Za chwilę nadbiega sam wielki kupiec, który ma firmę, znaną w całej Europie, kłania ci się bardzo nisko, bo się dowiedział, że chcesz kupić jedną spinkę, albo jeden kołnierzyk. Ponieważ wszedłeś z kobietą, więc kobiecie szybko podają krzesło, aby spoczęła, a dwie piękne panienki proszą ją, aby raczyła obejrzeć nowe modele, bo są śliczne. Kupiec jest zachwycony, że chcesz kupić spinkę za dziesięć halerzy. Jest dumny, że wybrałeś jego sklep. Pokazuje ci dwa tysiące spinek i zachwala ci najpraktyczniejszą, ostrzegając, że jest droższa znacznie, kosztuje bowiem halerzy piętnaście. Zanim wybierzesz, tę, którą sobie w niesłychanej łaskawości swojej upodobasz, wielki kupiec miał czas i chęć, aby cię popytać o zdrowie, o twój kraj, o pogodę i o twoje dzieci. Miał też czas, aby ci pokazać śliczne nowe wyroby ze skóry i jedwabną bieliznę, nie chce, abyś kupił, bo przecież kupujesz spinkę. Radziłby ci jednak, abyś kupił zimowy, wspaniały kapelusz, bo choć to dopiero lipiec, ale w grudniu mogą być droższe. Kilka krawatów także nie zawadzi, właśnie posiada na składzie prześliczne. A do krawata piaskowego koloru wybornie by się nadawało ubranie, w kolorze podobnym. Oto właśnie zwój sukna. Już go rozwinęli i przymierzają na uśmiechniętym pomocniku. Za chwilę połowę sklepu rozłożono na stołach i krzesłach.

Człowieku! Przyszedłeś, abyś kupić spinkę, albo kołnierzyk. Kiedy wychodzisz, niosą za tobą pół sklepu, boś kupił i szelki i krawaty i ubranie i cylinder i dwadzieścia cztery pary skarpetek i zapalniczkę do papierosów, choć nie palisz i jesteś bardzo zadowolony.

Ach, ta uprzejmość! Zachwycasz się nią, jesteś nią oczarowany, posyłasz tam przyjaciela, zachodzisz sam jeszcze dziesięć razy.

Czy to ładnie? Czy wytrzymuje ten obrazek porównanie z solidną i dostojną powagą polskiego kupca, członka Archikonfraterni literackiej? O! A czy to wypada, aby bogaty, zażywny kupiec, ojciec rodziny, teść jakiegoś wysokiego urzędnika, sam sprzedawał krawaty? Otóż to! Polskiego kupca po za sklepem można przez pomyłkę wziąć za hrabiego. A tamtego?

Dobrze jest tedy, że Polak ma zawsze minę do kontusza. Nawet pracując, da ci poznać wyraźnie, że pracuje z musu, bo takie to już psiakrew życie, ale mógłby być królem przy dobrej

okazji. Są i wyrodki, naturalnie! Są! Przykro o tem mówić, ale są tacy kupcy, co są tylko kupcami i tacy rzemieślnicy, co min nie robią. Ale tam wszyscy tacy...

Tam niema nigdzie tego, co U nas jest na każdym kroku: poczucia dumy i godności osobistej.

Na ten przykład: kiedy chcesz zjeść obiad w Czechach, idziesz do takiego zakładu, który na to założono, aby karmić ludzi, Obskoczą cię, poradzą, zachwalą i dadzą doskonałe jedzenie; panienska, która ci usługuje, śmieje się do ciebie i do baraniego kotletu, do wszystkiego. Czy taki obiad może smakować? Taki mdły obiad, z uśmiechami, bez awantury? Co to za jedzenie...

W Polsce, doprawdy, że inaczej smakuje.

W restauracji w Zakopanem to z takim obiadem jest przynajmniej cała komedja.

— Proszę o kaczkę!

— Niema.

— Przecież tu napisano: kaczka?

— Była, ale wyszła...

— Więc co może być?

— Co pan dziedzic każe!..

— Więc proszę o rybę,,,

— Niema, bo nie przynieśli... Może co usmażyć?

— Niech pan usmaży... Proszę usmażyć kotlet...

— Kiedy nie można, bo kucharze zastrajkowali.

Ale jajki są, może co z jajków... Idziesz do konkurenta.

— Kto przy tym stole usługuje?...

— Tli się nie usługuje, tu się podaje... — Więc proszę mi podać piwo. A do jedzenia nic?

— Za momencik,..

Po godzinie ci powiedzą, że samo piwo pija się nie tu; tylko naprzeciwno, Otóż to! I apetyt masz i jeść ci się chce i jest ci przyjemnie. A te Czechy?

IV.

Kiedy już jestem jako Lukullus, lub Gamasz i rozmyślam o ucztowaniu, nie od rzeczy będzie, jeśli opowiem, jak wygłodzony w Zakopanem, miałem dziwne, .gorączkowe przywidzenia w Karlovych Varach. Widocznie picie gorących wód działa na mnie tak podniecająco, że miewam widzenia.

Siedząc na werandzie u Puppa, rozmyślałem sobie ponuro nad gazetą, która mi lkała w rękach, że w ojczyźnie jest głodno i drogo; że niema chleba, jajek, świń, gęsi, cukru i innych rzeczy dobrych i siłę r dających, bo się to wszystko wprawdzie rodzi, ale gdzieś zaraz potem zapada się pod ziemią.

Tak myśląc, uderzyłem łyżeczką w jajko i drgnąłem. Jajko najwyraźniej piszczy. Jest to nie do wiary, lecz autentyczne. Drgnąłem i nastawiam ucha. A ono rzewnie:

— Witam cię, rodaku! Bo ja z Polski, proszę

— Nie może być!

— Ależ tak! Nas tu przywieźli że dwadzieścia wagonów...

— Kto was wywiózł z ojczyzny, na Boga?

— Pan Cynader, bardzo miły człowiek...

Tego dnia rozmawiałem w gorączce z polskim kartoflem i z bułką z polskiego zboża , cudownie wypieczoną. Myślano jednak, że zwarjowałem, kiedy zacząłem przy stole rozmawiać z upieczoną gęsią.

— Co tam u was słyhać? — powiada mi gęś z talerza.

— O, gęsi! — krzyknąłem, — o, polski łabędziu! ‘ Skąd jesteś?

— Ja jestem krakowianka, ale są tu z pod Kalisza i z pod Warszawy, Gęsi, jak panu wiadomo, mają skłonność do nabrzmienia wątroby, więc nas tutaj wywożą. Zresztą w Polsce tak doskonale by mnie nie upiekli.

Kiedy ujrzałem na wystawie spożywczego sklepu za szybą dziwnie wypatroszone prosię, uśmiechnęło się do mnie smutno. To było polskie prosię. Jego ojca zjedli w Pradze, brata w Ołomuńcu, stryja w Berlinie, macochę w Gdańsku. To tragiczna rodzina...

Całe leczenie było na nic. Wątroba się we mnie znowu “zapiekla”.

Chodziłem po Karłowych Varach smutny i przyzastanawiając się, czy też przypadkiem gorąca woda w Mühlbrunnie nie jest to polska woda, którą tu odgrzewają? Widocznie jednak nie, bo ją rozdają darmo.

Pilem więc tę wodę na umór, aby ocalić nieszczęsną wątrobę, którą nadwerżyłem w kraju, na premierach w teatrze, przy czytaniu polemik w gazetach, przy każdej wreszcie sposobności, tem się tylko pocieszając, że nikt w Polsce nie ma zdrowej wątroby. Z tych, co robią to samo, co ja.

Nie należy jednak myśleć, że nie ma radości na tym świecie. Widok straszliwego żyda w chałacie, który pije wodę przez szklaną rurkę, aby nie popsuć sobie emalji zębów, jest rozkoszny. Inny zaś radością, cię napełni, kiedy wypija w tajemnicy przed lekarzem i dziesięć kubków wody, zamiast trzech, na wszelki wypadek, a czyni to chytrze, przemykając się w ciżbie, i choć pies na niego nie patrzy, bo wszystkim jest wszystko jedno, ile tego wypije. Ale zawsze przyjemnie wypić więcej, kiedy wszyscy myślą, że się pije mniej.

Wielką zabawą w tem ślicznym naprawdę mieście jest obserwowanie specjalnej i ogólnie znanej choroby karlsbadzkiej: choroby pożądlivego kupowania. Jest to niebywały widok. Miasto, wzdłuż rzeki się tłoczące, zamknięte dwoma pasmami wzgórz, jest właściwie jedną tylko ulicą, wspaniałą ulicą, podobną do Kartnerringu wiedeńskiego, gdzie wszystko jest na pokaz. Ulica ta, to setki sklepów najwytworniejszych i najdroższych; malutki sklep zaś taki, wszystko co ma, wystawia na widok publiczny, w witrynie i co dnia ją zmienia, przerabia, ustawia inaczej przedmioty, inaczej je stroi, czyni ją coraz bardziej pożądaną. Kupiec karlsbadzki jest wybornym psychologiem, który poluje przedewszystkiem na kobiety w sposób zupełnie rafinowany. Oszałamia ją, nęci, denerwuje, niepokoi, wzywa, podnieca, wreszcie doprowadza do szału. Ten szal nazywa się "Kaufsucht". Co tylko na świecie wymyśliła moda, co wyprodukował wykwint, to wszystko tu jest, to wszystko, strugami elektryczności zalane, pyszni się za lustrzaną szybą i krzyczy i woła, jak Mefistofeles biedną Małgorzatkę, Gorzej bo i Faust chodzi niespokojny i łypie pożądlive oczyma na pyjamę, która by zdołała zaimponować chińskiej cesarzowej. Cóż ma czynić z biedną swoją duszą biedna Małgorzata na widok brylantów i pereł? Czy umrzeć sama, albo się położyć nie sama...

Kto niema wyboru, ten cierpi. Przybysz, na którego tak misterne zastawiono sidła, włóczy się po tej jednej ulicy tam i z powrotem, siedemdziesiąt siedem razy dziennie, odchodzi i wraca, дума i rozmyśla, oblicza i rachuje, wreszcie gubi duszę i kupuje. Osoby zaś nieszczęsne, które ulegają chorobie kupowania zaraz. po przybyciu, dostają małego obłądu. Jednego dnia obiegną wszystkie sklepy, jakby się jutro miały wszystkie spalić i szybko porywają kosztowne rzeczy, jakby zatrwożone, że ktoś je wykupił. Potem depeszują po pieniądze, gołe mimo stosów jedwabów, a jeszcze potem dziwią się ogromnie, że urzędnik celny na granicy ma niejaki pretensje do szlachetnie zwarjowanych osób.

Moje szaleństwo osobiste na widok tych zbytków, nie przeszło granic przyzwoitości. Mało się znając na materiałach damskich, nie mogłem uleść szalowi ostremu. Celem moich odwiedzin codziennych nie były witryny jubilerskie, ani siedem grzechów głównych, wystawionych za szybami magazynów z konfekcją,

— O, nie! Pożądliwość moja przestępowała z nogi na nogę przed sklepami, w których sprzedają cudowne czeskie kryształy.

O, męko!

Stawaliśmy z przyjacielem, poetą, albo z przyjacielem, znakomitym aktorem przed takim sklepem, całym w promieniach, ,jeśli na szybę padnie słońce.

Najpierw trwa długie, blade milczenie, pełne głębokiego wyrazu. Potem taki dyalog:

— Ten .serwis dla papieża... Patrz, patrz.... Papieskie herby...

— Cudne szkło,.. Boże, jak się z tego pije...

— Z tego? Z tego to nie, ale patrz na te kryształy. Ten kieliszek na wysokiej nóżce, to do reńskiego...

— Mój Boże, mój Boże!...

— A te kieliszki, to do burgunga... Światło się załamuje na tych esach floresach i czerwien wina wygląda wtedy tak, jakby z niej sypały się skry...

— Nie mów, nie mów!...

— Te wysokie, to do szampana,.. Wyobraź sobie jak w tem szkle wino się perli,.. Boska dusza wina ma wtedy godne siebie mieszkanie, zamek z kryształu... Szkło pewnie niewidocznie z radości i z przejęcia dźwięczy..,

— Nie męcz mnie, czego mnie męczysz? Chodźmy stąd, bo stłukę tę szybę głową...

Odchodzimy i wracamy, bo wystawili nowe szkło; należy więc zastanowić się uważnie, czy ten, który z niego będzie pił, będzie miał z niego rozkosz, czy trzonek kieliszka nie Jest zbyt wiotki, co by mu mogło grozić niebezpieczeństwem wywrotu, czy jego opasłość nie jest zbyt wielka, co znieprawia miarę wina i czyni haust zbyt długim.

Odchodzimy tak i wracamy wciąż, wodą opici, aby patrzeć na te śliczne rzeczy i na straszliwą tandetę, której jest co niemiara. Nic innego w Karlowych Varach nikt nie wymyśli, Goethe pewnie nie więcej miał do roboty, poza obowiązkowym chodzeniem, Goethe bowiem był nie tylko w Karlowych Varach, ale się, że mieszkał w każdym domu. Każdy hotel bardzo chce, aby w nim mieszkał kiedyś Goethe. Na wystawach księgarni mało książek poza "Goethem w Karlsbadzie".

Byłoby tedy nudno dobremu Polakowi, gdyby nie rodacy. Rodaków, ochrzczonych nawet, jest coniamiara. Są to ci obłąkańcy, którzy nie chcą spać w Krynicy w wannie, albo na

bilardzie i śmia twierdzić, że lepszy asfalt jak lustro w Karlovych Varach, niż wyboje i dziury w Zakopanem.

Zagnała ich tu “zła wątroba”. To jasne; niemądra niechęć do swoich, dlatego, że swój chciał swego obdzierać ze skóry. A kogóż, u licha, ma z niej obdzierać, Amerykanina? Przecież nie przyjedzie.

Słusznie jednak może zapytać ten i ów:

— To oni! Ale czemu ty, człowieku wyrodny wywozisz grube pieniądze do obcych krajów?

Ha! Po co ciebie tam poniosło?

Przyznam się szczerze. Pojechałem, aby oczyścić sumienie i tę wątrobę nieszczęsną, albowiem straszliwa jej przez jej niedomagania stała się krzywda — kobiecie.

Jest to historia długa, ale mamy czas.

Otóż, niedawno temu, miałem jednej nocy widzenie.

Wspaniała, stara anielica, stanąwszy nademną rzekła ochryłym od irytacji głosem:

— Jestem patronką stowarzyszenia dam chrześcijańskich. Na plugawej ziemi byłam hrabiną. Zawsze nosiłam koszule i nigdy nie mieszkałam w Sanato. Na czci mojej niema plamy.

— Bardzo mi przyjemnie! — zaskrzypiałem razem z łóżkiem,

— Zaraz ci będzie nieprzyjemnie! — krzyknęło widmo. — Ha! drzysz?

— Mam takie wrażenie! — szepnąłem.

— To cię sumienie tak trzęsie! To drży w tobie twoja wątroba, to się w tak tobie zółć wywraca,.. (!) Daremnie się chowasz pod kołdrę! Widzę twój smutny koniec... Więc przychodzę, aby cię ostrzedz, bo się już miarka przebrała... Jeżeli nie przestaniesz pisać o zacnych kobietach tego, co piszesz, umrzesz w pohańbieniu... Uderz się w piersi, kajaj się i płacz, bo kara doścignie cię wrychle.

To “wrychle” uderzyło mnie, jak madejowa pałka. Poczem zjawisko znikło, a ja płakać zacząłem, jak trzydniowe dziecko. Mieszkam na pierwszym piętrze, a na parterze myślano, że u mnie wodociąg pękł. A to pękło serce moje i tyle z niego wypłynęło łez. Anielska dama mówiła słusznie i sprawiedliwie. Mądra to była zjawa. Nadaremnie mnie pocieszano, że musiałem na noc zjeść baraninę i wskutek tego miałem ciężkie sny. Nie, to nie była baranina...

— Zapadłem na zdrowiu. I dlatego pojechałem do tych czeskich źródeł, myśląc, że tam wyjmować będą mnie złą wątrobę i na patyku moczyć w Sprudlu. O! Sumienia jednak nie można obmyć w najcudowniejszej wodzie. Więc mnie i tam gryzło i kąsało, wyło i jęczało we mnie,

To wszystko spotkało mnie za to, co wypisywałem o niewieście, o białej głowie, o najpiękniejszym tworze natury, o kwiecie ziemi, o promieniu słońca, o zapachu perfum, o błysku perły, o tęczy chmurnego żywota, o kobiecie, mówiąc jednym niemądrym słowem. Postanowiłem tedy zaprzestać sam, zakazać dzieciom moim i błagać przyjaciół i znajomych, aby też złe rzeczy pisać przestali. Pisarze nieżonaci odrzekli mi, że im jest wszystko jedno, że mogą pisać źle, dobrze, lub nie pisać wcale, bo to nie jest żaden temat; żonaci jednak uśmiechnęli się ponuro, co zapowiada rzeczy ponure. Ja przysięgałem, że nie dotknę kobiety — piórem. Panie mogą być spokojne. Kupiłem sobie wielką fajkę i czekam, która ją zechce ze mną wypalić? Już jestem cichy i pokornego serca.

I łagodnej wątroby.

To działanie cudownych wód, odkrytych przez jelenia.

Mogłem tę przemianę materji (w duszy — oczywiście) i jej szlachetne skutki skontrolować odrazu, na miejscu, W Karlovyh Varach było tego roku jedenaście warszawskich aktorek. Można sobie wyobrazić, jakie przy złej wątrobie wspaniałe były do zrobienia odkrycia w dziedzinie kobiecości. Można by napisać tomów jedenaście, zważywszy, że w każdej aktorce jest choćby tylko jeden, tysiąc stronicowy tom perfidji.

I nic.

Słuchałem, ale nie napisałem ani słowa odtąd złego o kobiecie. Byłbym raczej utopił się w Sprudlu. Już to nawet mnie niecierpliwiło i gniewem zaczęło napępniać, kiedy patrzyłem, jak Polacy zabijają czas, nudząc się. Polacy, kiedy się nudzą, robią plotki.

Plotka, jako kłamstwo niewinne i nikomu nie czyniące krzywdy, jest jednak rzeczą zabawną, utrzymana j zaś w tonie wytwornym, bardzo wszystkich śmieszy! swoją pogodą, Polacy, jako naród pogodny, brzydzą) się oszczerstwem i robią tylko plotki, które są strasznie śmieszne.

Resztki moich złych humorów irytować się mogły j na takie drobiazgi; bo właściwie szeroko śmiać się trzeba, kiedy sobie chodzisz po obcym mieście, wszyscy myślą, żeś Czech, albo Rumun, a ty sobie słuchasz niewinnych kawałów.

— Niech pani patrzy, jak to się dmie i jak nosa zadziera,.. Ma trzech kochanków, dzieci morzy głodem i nigdy się nie kąpie...

Czyż nie jest zabawną wiadomość, że się ktoś nie kąpie? Albo tak:

— Patrz pan, patrz pan... ten, co jedzie w smogu do Imperjalu, to dyrektor banku z Warszawy... No! ale niech tam kiedy zrobią rewizję!,... Boże drogi!.

W istocie, to bardzo śmieszne być musi, kiedy w banku robią nagle rewizję.

Można skonać ze śmiechu, kiedy się człowiek wśród niewinnego szczebiotu plotki dowiaduje o kimś, o kim myślał, że jest niemrawiec i niezguła, że to jednak jest człowiek straszny, co struł kochankę ługiem, o człowieku, co na oko niby trzech zliczyć nie umie, że kazał żonie nago skakać przez rozpalony do białości pręt, którym ją od czasu do czasu bił po lędźwiach.

— Niewinne takie igraszki urozmaicają życie i pobudzają fantazję. Gdzieindziej to by zaraz lichy wie, co wymyślono, a u nas i to ładnie i w miarę.

Aktorki naprzykład, choćby się inaczej wydawało, jednak nigdy naprawdę źle o nikim nie mówią. Jedenaście aktorek było w Karlovych Yarach, a ja słowa złego z ich ust o nikim nie słyszałem.. Miały tylko wątroby chore od słuchania złych rzeczy, które inni wygadują.

Aktorka nie tylko w Polsce, ale na całym świecie, robi jedynie niewinne plotki.

Aktorka mówi mniej więcej tak:

— Ach, jak ja ją lubię tę moją koleżankę, jaka to śliczna kobieta! Możeby było lepiej aby nie była na utrzymaniu, ale z czego biedactwo ma żyć? Przecie wszędzie nędza... A za hrabiego, biedactwo, nie wyjdzie, bo piegowata, nogi w kabłąk, z przodu za wiele, z tyłu nic, gęba jak Saski Plac, żołądek na wierzchu, odstające ucho, matka ma magiel, ciotka szynk na Grzybowie, ojciec w kryminale, a dzieciątko na flaszczyce takżeby się znalazło, gdyby kto bardzo poszukał, ale po co ja się mam zajmować cudzemi sprawami? Nikt mnie nie obmawia, to i ja nie obmawiam nikogo...

I słusznie.

V.

Mógłby ktoś rzec, że go wodzę na bezdroża, obie—bowiem przeraźliwe historie z życia czeskiego uzdrowiska, na cały świat sławnego, czepiam się lego po kolei, jak swarliwa żona, która się czepia męża na wszelkie możliwe tematy. Jako żywo! ; najgorsze mam racje ku temu, by takiego czytelnika ugodzić piórem w serce, albo też w wątrobę, bo o niej mowa, A najpierw: tak sobie piszę, bo tak podoba; zaczem: czy ja jestem dziejopisarz, czy ja jestem Pliniusz, albo zgoła Ferdynand Hoesick, czy ja jestem Baedeker? Kto chce jak wyglądają Karlovy Vary, niech do nich jedzie; dowie się za jednym zamachem i za te same pieniądze, jak się tam żyje, jakiego uczucia wewnętrznego doznaje człowiek przy picciu Sprudla, przy picciu innej wody, jakiego — kąpiąc się w gazie, jakiego, kąpiąc się w gorącym błocie? Są to sprawy skomplikowane, do których opisu trzeba mieć mózg ścisły, metodę i cierpliwość. Ponieważ ja jestem trochę szaleniec, a mój czytelnik, jeżeli się jaki znajdzie, wskutek tego samego jest to już warjat zupełny, więc nie będziemy o tem gadali. Stateczną metodę zostawmy “metodytom”, sami zaś, siedząc na oklep na bujnym słowie, jak na koniu, skaczymy przez piąte i przez dziesiąte, co jest jazdą znacznie miłszą, niż jazda na drewnianym rumaku w karuzelu.

“...Jedźmy! nikt nie woła...”

W Karlovyh Yarach też jeżdżą, bo tam urządzają konne wyścigi Z nałogu porównywania muszę i w tem miejscu zwrócić uwagę, jak nierównie bardziej zajmująco wyglądają takie rzeczy u nas. Konne wyścigi! Ach, strasznie mi zaimponowali! Wiadomo że konie mają niezrozumiały interes w tem, aby jeden prześcignął drugiego, cóż więc w tem za dziwo, że Karlovyh Varach ścigają się konie, sprowadza z wiedeńskich torów, a warszawska śliczna aktorka gra w totalizatora, jak szalone żrebię! Żadne dziwo. U nas jest to zabawniejsze i naprawdę zajmujące. Kiedy się w Truskawcu stanie przy źródle “Marysia” widzi się wyścigi prawdziwe; jest to źródło wzruszające. Tak, to dobrze powiedziane. Piją sobie przy niem żydy i wesoło szwargocą. Nagle, jakby da hasło do startu, żydy jak szlachetne rumaki wyrrywają się w cwał i gonią, gonią. To mi są dopiero wyścigi! Nikt tam wprawdzie nie chodzi patrzeć do celownika, który przybiegł pierwszy, ale zawsze jest to zajmujące. I piękna aktorka warszawska też na nikogo nie stawia...

Kiedy patrzyłem na wyścigowe rumaki karlsbadzkie, drgnęło we mnie serce. Zaczęło pukać.

— Czego tam? — powiadam.

— O, niepocziwy! — rzekło mi serce, — Czy wszystko tutaj jest takie piękne, a u nas nie znajdziesz niczego, godnego uwagi?

— Nie przypominam sobie! — mruczę ja.

— Ale sobie przypomnisz! Gdzie byłeś w ostatnich czasach?

— W Zakopanem,,,

— Niech je ziemia pochłonie. Niech Gubałówka i spadnie na głowę! Gdzie jeszcze?

— W Krynicy,,,

— Niech jej Bóg przebaczy. Gdzie jeszcze, gdzie y

— W Ciechocinku, w Truskawcu, w Sopocie...

— Hańba! hańba! Odegnaj precz żydowskie majaki,

— Ach, byłem we Lwowie...

— Cześć mu i chwała, ale gdzie jeszcze? przypominam sobie. Przypomnij!

— Spójrzysz na te żydowskie konie z Wiednia.

— Czy ci te konie czego nie przypominają? Inne konie, piękniejsze, śliczne konie...

— Ha! — krzyknąłem, — byłem w Janowie!

Czytelnik, rzecz prosta, nie wie, co to jest Janów i znowu próbuje miny na temat: co mnie obchodzi jakiś Janów? Wobec czego proszę go po raz ostatni, aby zaprzestał z wykrzywianiem fizjognomji i cierpliwie wysłuchał, bo idzie o rzeczy ważne, I dobrze, że mi te mizerne wyścigi rzeczy te przypomniały. Ponieważ zaś Sprudel nie wycieknie, bo tej psiakrewskiej wody jest tu niewyczerpana ilość, więc mamy czas i pogadajmy sobie o Janowie. Ja chętnie, bardzo chętnie, bo wreszcie jest coś... Moje serce miało rację... Serce zawsze jest mędrze od głowy...

Co też takiego nadzwyczajnego widziałem w tym Janowie?

Niebywałe rzeczy!

Każdy uczciwy człowiek, (bo i tacy się zdarzają), kiedy to czytać będzie, zarzy zgoła jak szlachetny wałach, kiedy mu się coś wesołego przypomni. Wszystko się bowiem już zdarzało na świecie: analfabeta może być ministrem, malarz generałem, — ale naprawdę rzadko się zdarza, abym ja pisał o koniach. Do tego oszalałego pomysłu przywieśli mnie moi przyjaciele.

Dotąd miałem o koniach dość słabe pojęcie, a moja znajomość literatury o koniu była dość skąpa, gdyż poza "Farysem", poza ciekawym pytaniem: "Ej, ty na szybkim koniu, gdzie pędzisz, kozacze?" — poza okrzykiem Ryszarda III, który zły chciał zrobić handel: "Konia! Królestwo za konia!" — wiedziałem mało co więcej. Poza tem jestem autorem przeraźliwie rzewnego wiersza, który z ułańskich oczu grube "łyzy wyciska, wiersza pod tytułem: "O

księżniczce, zamienionej w kobyłę”. Serdecznych uwag przy bridge’u w rodzaju takich: “Zagrałeś jak koń!” — nie bierze się pod uwagę.

I oto takiego człowieka, los — ślepy, złośliwy i kąśliwy wałach, pokarał przyjaciółmi dziwnego autoramentu, przyjaciółmi, z których każdy dotknięty fest obłędem ciężkim i niemożliwym do wyleczenia: obłędem miłości do konia. Przyjaciel taki nie wie dobrze, po co Pan Bóg stworzył nasienie takie, jak człowiek, bo właściwie na świecie powinny być tylko konie; przez całe życie rozprawia tylko o koniach, śni się tylko koń, kocha tylko konia, nie jadł nigdy koniny. Gdyby takiemu dać do wyboru jak na obrazku Siemiradzkiego “Wazon, czy kobieta?” — kochankę, albo rasową klacz, nie zawahałby się na jedno machnięcie końskiego ogona. Kobieta odeszłaby we i pohańbieniu.

Zawsze się zastanawiałem, co siedzi w takim koniarzu? Siedzi Polak. Polak, który nawet po morzu jeździł konno, Polak, najserdeczniejszy przyjaciel cudownego zwierzęcia, co z nim razem walczył, z nim pił wino, z nim robił zajazdy i burdy i z nim, w przyjacielskiej spółce roznosił swój temperament.

Polak — podolski bałagula i Polak — wieczny v ulan.

Nie może tej miłości pojąć człowiek, dla którego najczęściej spotykanym koniem jest wiszący przy dyszlu, aby nie upadł, koń dorożkarski. Wielką tę j jednak i dobroczynną miłość zrozumie ten, kto ujrzy J piękno konia w jego postaci najszlachetniejszej i komu pokażą takie śliczne “miasto koni”, jak mnie pokazano, Janów. Można zwarjować. wtedy osobiście, w— każdym zaś razie przestać się dziwić najmilszym końskim zapaleńcom,

Miejski człowiek widzi ze zdumieniem, że to nie “pańska zabawka”, bo określenie to wśród głupich najgłupsze, oznacza czarną, ciężką, nigdy nie kończącą się pracę.

Co robią ci ludzie?

Ci ludzie pracują bez przerwy nad tcm, aby żołnierz miał na wojnę szlachetne, wspaniałe, śmigłe zwierzę, aby rolnik orał nie jasnokościstym szkieletem, lecz zwierzęciem mocnym, rdsem i zdrowem. Ci ludzie pracują ciężko, bardzo ciężko, aby się kraj bogacił. Dokazują cudów przemyślności, aby z zamorskich krajów, gdzie się konia pieści, jak narodowe bogactwo, przywieźć do Polski egzemplarz szlachetny.

Państwo ma sto jeden innych kłopotów, więc trzeba było szczęścia, aby się znaleźli tacy ludzie, przenikliwie mądrzy, w przyszłość patrzący, którzy się tem zajęli. Są to tacy dziwni ludzie, którzy wiedzą, że przeciw kawalerji Budiennego nie warto iść na piechotę.

Jak tematu do egzotycznego romansu, pełnego przygód niesamowitych, słuchałem dziwnej dla mnie i ciekawej opowieści o tem, jak do Polski, ograbionej po złodziejsku do ostatniego końskiego kopyta, prowadzono stado szlachetnych koni z Odesy. I dla mnie,

człowieka papieru i drukarskiego czernidła, stały się nazwiska tych ludzi, co tego dokonali godnego szacunku tak wielkiego, jakiego godne jest nazwisko dzielnego człowieka, co z pożaru ratuje skarb narodowy, I pomyślałem sobie, że jeśli się sławi takiego miłego pana, co napisał tomik wierszy rozjęczanych, albo takiego pana, co urządził fantową loterję na jednookich, to jakżeż głośne powinny być tych ludzi, co jedną z najważniejszych gałęzi gospodarstwa polskiego pielęgnują z takim niesłychanem zamiłowaniem i lakiem oddaniem, że ją uczynili kwitnącą.

Nie wiele jest w tem gospodarstwie takich rzeczy, z którychby można być dumnym, lecz są i takie, które można z tajoną, a wielką radością pokazać w Europie. Do nich należy hodowla koni w Polsce, dlatego cudowna, że niemal cudem stworzona, wyprowadzona z niczego, dobytka z wojennego potopu tylko dlatego, że Polak konia kocha, że go mieć musi.

Wszystko to są rzeczy, znane specjalistom. A trzeba o nich robić wrzask na Polskę, Ja — w tych sprawach — laik i niemowa, patrząc na Janów, na ład w nim idealny, na porządek błyszczący, stado widząc śliczne, które ma krew szlachetną po całej rozprowadzić Polsce, patrząc na parobka, który pieści konia jak dziecko, bo to robił jego ojciec i dziad, rozumiałem, czem jest taka instytucja, taka oaza, pełna życia.

Ślicznie mi było w tym Janowie Podlaskim! Radość z widoku rzeczy uczciwej i pięknej, radość z życia, co się tu rodzi i drży z ochoty do pędu, miesza się z radością oczu, co oczarowane patrzą na niebieskość Bugu i na podszycie lasów, A najpiękniejsze wśród tego wszystkiego jest to zwierzę najmiłsze ze wszystkich, szlachetne, dzielne i dumne, ukochane polskie zwierzę, skądkolwiek ród swój wywodzi, Człowiek wydaje się przy niem brzydki, Niebardzo tym nadobnym, pięknym, jak panny klaczom chciałem pokazywać nieforemne moje oblicze. Trochę też tajonej drwiny widziałem w oczach siwej, jak markiza, Amhary.

Trzeba mieć specjalny mózg, aby się rozeznać tłumie końskim i znać wszystkie imiona. Ci janowscy ludzie mają tego pełne głowy i wiedzą o każdej plamce i pewnie o tem, ile włosów w ogonie ma takie przystojne i kochane bydlę. Patrzyłem i słuchałem z rozrzewnieniem, po godzinie jednak — q żadnym młynie niema takiego rwetusu, w niedzielę Tworkach, kiedy warjaty mają rekreację, mniej jest zamętu, niż ja go miałem w głowie.

Wyprowadzają konie, a jeden piękniejszy od drugiego. Jak handlarze dziewic w Koryncie cmokają moi przyjaciele znawcy z podziwu i uwielbienia; gadają zwarzjowanym dla mnie językiem o “związany zadzie” i innych takich szczegółach, o których rzadko wspomina przy pannach. Nic z tego nie rozumiem. Dobiło mnie pytanie:

— Ile ta klacz może mieć pod kolanem?

Dowiaduję się niebывałych historii o najbardziej łych przeżyciach każdej końskiej panienki. Nigdy nie przypuszczałem... Takie to młode — i już...

Wypominają koniowi każdemu wszystkich jego pradziadków do dziesiątego pokolenia, jak stare ciotki przy swatach szukające paranteli. Zauważyłem, że dość wiele jest kazirodczych wśród koni stosunków. Taki łąjdak ogier to potrafi z własną ciotką, kto wie!.., nawet z babką. Ale najbardziej podobały mi się miłe końskie panny, piękne noszące imiona. Każda rży na temat: “Patrz, brzydki pisarzu, jaka ja jestem piękna!”. Och, tak!

Z pewną rezerwą przyglądam się rozpustnym ogierom, które z pogardą kiwają ogonem na metodę Steinacha i Woronowa, Pyszne to, dumne i wyniosłe, W oczach ma ogień i krew, w sobie potęgę. Stary koński hrabia, pan Morganatic, nie wiem z kim morganatycznie ożeniony, strzyże uszyma, słysząc objaśnienie, że jest synem St. Simona. Czcigodny arab, śliczny jak arabska bajka, Burgas patrzy na mnie tak mądrze i przyjaźnie, że mam ochotę “uściskać mu dłoń” i zawiadomić, że w jego ojczyźnie wszystko w porządku, bo Arabcy biją Żydów. Pan ogier Manton, nadobny, jak angielski dandy, wie o tem, że jest niebывale przystojny i stroi miny wielkiego pana.

Prześlicznie! prześliznie! Więc idę na łąkę, gdzie mnie ogarnia rozrzewnienie, bo wlałem do końskiej froebłówki, między młodzież końskiej arystokracji. Smarkacze są tak cudowne, że się wśród nich człowiek czuje jak wśród najlepiej wychowanych dzieci; łagodne to, dobre, wielkopańskie, rasowe Bieci. Wychowują je w Janowie z taką dobrocią takich je wykwinnych uczą manier, że myśl o ludziach w tej chwili i o małych ludzkich Dyziach — jest ponura.

Obudził się we mnie Polak, co pewnie miał kiedyś konia. Czepiło się i mnie lekkie szaleństwo końskiej miłości. Raz w życiu siedziałem na koniu, jak ksiądz Marek, który “jeździł po łacinie”, w tej chwili jednak, patrząc na rewję arabskich ogierów, z których każdy ma piersi hurysy a nogę Polki, byłem zdolny do wszystkiego.

Zanuciłem dziarsko: “Koń gotów i zbroja, dziewczyno ty moja!,,,” Konie się uśmiechnęły. Niestety ; trudniej jechać na koniu, niż na rymie. Jednak dokonałem bohaterstwa i mam na to świadków. O, mamma mia! Do powoziku zaprzęgli pięć, słowami: pięć ogier angielskich, I ja mam jechać na takim wózku, dzień, a ja ujrzałem gwiazdy. Dusza we mnie jękała, a opuściwszy swe siedlisko, usiadła mi na ramieniu jak ptaszyna, każdej chwili gotowa do ucieczki na drzewo. Spojrzałem na drogę, gdzie za chwilę dobrzy ludzie w końską derkę moje kości... I żyję. Ogiery idą, jak baranki, bo janowski dowódca, straszny woźnica coś do nich gada po swojemu. Tacy to się rozumieją.

Tam się wszyscy rozumieją — ludzie i konie. Tagi mieszka dusza rasowego konia.

Wyjeżdżałem z żalem. Automobil warknął niecierpliwie. Takie stalowe bydło zazdrosne jest o konia, bo koń jest piękny. Maszyna być musi, ale życie jest piękniejsze. Piękniejszy jest koń, jedno z najpiękniejszych stworzeń boskich. Koń wierny i rycerski.

Skończyłem z końmi i teraz pozwalam czytelnikowi rozmawiać ze sobą. Więc dlaczego o tem wszystkim piszę? Bo mam czas, ten czas, który w Polsce zastępuje pieniądz, A przede wszystkim dla tego, żeby ulżyć wątrobie i ucieszyć serca, że jest jednak w Polsce wiele pięknych rzeczy, przedziwnie pięknych. I gdyby polski hipochondryk umiał i chciał je zobaczyć, nikt nie byłby chory na wątrobę i nikt by nie jeździł leczyć się za granicę.

Wszyscy Polacy mają chorą wątrobę; dlatego im się nic nie podoba, dlatego wszystko zawsze było dawniej lepsze, albo takie, albo owakie, każde drańcie i każda tandeta, A teraz to wszystkiemu — rząd winien. Kura nie znosi jaj, bo kogut zmęczony, — rząd winien. Pada deszcz, jest gorąco, dom się zawalił, żona uciekła z oficerem, — rząd winien. “Dawniej nigdy by do tego nie doszło”.

O, psiakrew...

Ale spokojnie, spokojnie!

Życie jest piękne, a wątrobą można wyleczyć. Ludę się tu radują, weselą, tańczą, a dokoła grają cudowne orkiestry. To także czeski wynalazek takie wspaniałe symfoniczne orkiestry. W Zakopanem gra kobzie jeden stary góral.

“Ej, dudarzu, smętnie gracie! Możebyście wesołego co zagrali?!”

Akuratnie! Wesołego ci się zachciało... Polska kobza gra smutno i rzewnie i tak tęsknie, tak cudownie tęsknie, że dusza w tobie płacze, jak anioł płaczący i cholera cię bierze...

Chodźmy się napić gorącej wody...

PAN Z KOZIĄ BRÓDKĄ

Przyjaciel mój, miły bardzo poeta, opowiedział mi tę historię, która wygląda na opowiadanie patentowanego wariata, mającego urzędowe zaświadczenie pomieszania zmysłów. Przyjaciel dawał mi trzy razy “najświętsze słowo honoru”, że w tej hecy brał udział. Gdyby raz, to może bym jeszcze jako tako uwierzył, ale trzy razy — to trochę za wiele. Ubocznie tylko nadmieniam, że mój przyjaciel jest to pijaczyna na wielki kamień. Pod tym kątem widzenia rzecz się staje zrozumiała.

Oto co mi ten bęcwał nabredził:

Niedawno oszołomiła mnie miła wiadomość, że stary kutwa, po którym miałem dziedziczyć, zjadł pieczone prosię, niesłychaną ilość śliwek, a potem napił się lodowatej wody. Kiedy kto ma lat siedemdziesiąt, nie powinien tego robić, chyba że ma miłego spadkobiercę. Zemsta natury była natychmiastowa i poczciwy staruszek umarł. Z rozrzewnieniem opowiadano mi, jak do ostatniej chwili zachował jasność i bystrość umysłu i jak z oszczędności zdmuchnął gromnicę na długą chwilę przed śmiercią. Zjadł też przed oddaniem Bogu ducha pieczone kurczątko, aby się nie zmarnowało.

Ponieważ działo się to w prowincjonalnym, obskurnym miasteczku, trzeba było tam jechać, aby sprawdzić, czy dobry, stary człowieczyna naprawdę umarł, mogło i to być bowiem, że z oszczędności wpadł na dwa, trzy lata w letarg, aby nie marnować świec i obyć się bez jedzenia. Spadek — rzecz oczywista — był na ostatnim planie (!), chociaż tylko w małych miastach bywają duże spadki. Tam zacni nieboszczykowie umieją wieść życie skromne i bogobojne, tańsze są lekarstwa i doktorzy nie tak łapczywi. Szczerze mi żal ludzi, którzy się spodziewają spadku choćby w Warszawie, gdzie koszty śmierci są niepomierne, i spadek kurczy się jak jaszczur w powieści p. Honoriusza Balzaca.

Ja z mojego uczciwego nieboszczyka byłem wcale zadowolony, tak że nie przeklinałem zbytnio pobytu w szarym, błotnistym i żydowskim mieście. Minę miałem przyzwoicie strapioną i nieboszczyk, jeśli na mnie spojrział, mógł mieć chwilę prawdziwej radości. Temu z racji człowiekowi zawsze i we wszystkim się wiodło i nawet po śmierci miał szczęście, na takiego jak ja natrafiwszy spadkobiercę.

Kiedy się stało oczywiste, że miły nieboszczyk, nawet gdyby się zbudził z letargu, nie zdoła podźwignąć niesłychanej ilości kamienistej ziemi, gdyż robota na prowincji nie jest fuszerską robotą stołeczną, a grabarze są tam dokładni i pracowici, kiedy dusza Harpagona

odeszła do raju w całej paradzie, bo we fraku, rozciętym na plecach, trzeba było pomyśleć, w jaki sposób ukoić żal i zmartwienie.

Musiałem przez dwa dni jeszcze dreptać po bruku przyjemnego tego miasta. Mój zacny krewny, sam już w raju bezpłatnie wszelkich wspaniałych używający rozkoszy, nie mógł mieć do mnie pretensji, że jeszcze za swoje pieniądze, bo jego trzymały w uwięzi niezliczone formalności, chcę pocieszyć strapioną i niewyspaną duszę. Tylko ludzie źli i obłudni, otrzymawszy spadek, udają, że umierają z żal, człowiek rozsądny powinien ucieszyć nieboszczyka, dając mu dowód, że jego skarbów źle nie użyje, lecz je spożyje w radości i w błogim weselu, że uczyni to, jednym słowem, czego on uczynić nie umiał, i wskutek tego mógłby mieć za grobem wyrzuty sumienia.

Dość było trudno w małym mieście oszaleć. Można sobie było wprawdzie kazać podać do obiadu lody ananasowe i hawańskie cygare, takie jednak polecenie nie miało sensu, bo wywołałoby tylko zbiegowisko, zupełnie zresztą niepotrzebne, gdyż w całym mieście nie było ani ananasa, ani hawańskiego cygara. Można było zakupić wszystkie pokoje w pierwszorzędnym hotelu, co powinno wywołać sensację; i ten pomysł jednak również był bez sensu, w całym bowiem hotelu były tylko dwa pokoje, a w jednym stał bilard, który od przypadku służył jako łóżko.

Nie było to jednak miasto najgorsze. Źle jest sądzić z pozorów. Ostatecznie bowiem znalazła się rozrywka pierwszorzędna. W mieście tym gościł kabaret, tingeltangel, coś w tym rodzaju. Na zielonym papierze czerwoną farbą, koślawymi literami, udającymi litery druku, było wypisane, że w kawiarni "Japońskiej" odbywa się codziennie przedstawienie "monstre" najwybitniejszych gwiazd świata, artystek i artystów stołecznych.

Ha! życie bucha radością jak gejzer. Nawet tu.

W pobliżu miasta znajdowały się głośne w świecie kopalnie nafty, więc środowisko ludzi bogatych, skłonnych do hazardu, bardzo przeto szczęśliwych lub nieszczęśliwych. Na obie te dolegliwości, na szczęście i na nieszczęście, wymyśliła natura jedno wspólne lekarstwo: szampana. Rzecz prosta, że po tak zawiłym wykładzie wniosek jest prosty, ten mianowicie, że nawet w tak obskurnym mieście kabaret, w którym można dostać szampana, mógł mieć widoki powodzenia. Człowiek rzadko pija naftę, z reguły jednak umie naftę zmienić w wino. Jest to boską cechą natury ludzkiej, że wszystko, dziegieć, smołę, sól, sztuczny nawóz, kartofle i pszenicę umie ona szybko, jednym gestem, używanym przez czarowników, zmieniać w wino.

Nie bez trwogi jednak wchodziłem do wzniesłego lokalu, w którym szalało miejscowe życie. Lokal był spelunką. Historię jej można było wyczytać na tapetach. Niezliczone pokolenia much umarły i pogrzebane są na "żyrandolu"; wspaniale lustro zdobiło jedną ścianę.

Kiedy w to lustro, porysowane, pęknięte w samym środku żywota swojego, zamorusane i nie myte od chwili swoich narodzin, spojrzął człowiek — cofał się natychmiast przerażony. Było to zaczarowane zwierciadło. Najbardziej urodziwa twarz czyniła się szpetna; oczy odbiegały od siebie, jak gdyby w nagłym przerażeniu; nos przybierał kształty niesamowite, usta rozszerzały się w okropnym cierpieniu, widziałeś upióra, który był zielony i straszny. Było to prawdziwe zwierciadło żywota, w którym wszelki szych i marność ziemską przybierały kształt właściwy. Z brudnej toni zwierciadła patrzył w ciebie upiór, śmiejący się szatańsko na temat: cha! cha!

Z jednej strony sali, należycie śmierzdzącej, był bufet. Na długim stole, obitym ceratą, tłusto się pocąca, tak że wszystkie wody wszystkich oceanów zmyć by jej do czysta nie mogły, stały jakieś szkła, jakieś wędliny i sery. Samobójca drgnąłby, zbliżywszy się do tej zastawy. Były tam rzeczy, radujące żołądek, były jednak i takie, które są radością oczu, a przez oczy radują ducha. W metalowych niewypowiedzianego koloru kieliszkach barwiły się kwiaty. Sztuczne kwiaty, podobne do zakurzonej, uwiedłej, straszliwej zaśniedziałej cnoty.

Po stronie przeciwnej ustawiono estradę, która przypominała nudny katafalk. Stało na niej pianino, w którym dusza dawno umarła, a targana co nocy za włosy swoich strun, wydawała spoza grobu chrapliwe, okropne, szczekające rżenia. Pianino to bite po żebrach, torturowane z pasją przez ohydny Torquemadę drżało jak czarna trumna, w której leżący nieboszczyk zwariował i wierci się z powodu wyrzutów sumienia, płakało, dostawało czkawki, jęczało basem głuchym i podziemnym, bulgotało spazmem, charkotało kaszlem uporczywego suchotnika, nagle zawyło, po czym odezwało się drewnianym głosem puszczyka, aż po chwili zaczęło kwilić cieniutkim, piskliwym, dreszcz budzącym głosikiem podrzutka, ciśniętego pod cudze drzwi na śniegu i mrozie; wszystkie zaś te głosy wstawały i umierały w rytmie, więc kiedy zamknąłeś oczy, miałeś widzenie, że oto straszliwy szkielet wstał, tańczy i płąsa radośnie, piszczelami sucho chrzęści i pomrukuje sobie, raz wysoko, raz nisko, a czasem nie może dobyć głosu z przepalanej śmiercią gardzieli, gdyż co drugi klawisz nie odpowiadał. W takim instrumencie musi być zaklęta dusza starej panny, która źle i bez wytchnienia grając na fortepianie, zatruwała życie sąsiadom. Teraz ją za to ciągną za włosy, każdym ruchem pedała gniołają jej łono, a ona skarży się biedactwo.

Pianino to, jego dusza żałośnie jak głodny pies skamląca, musiało wzruszyć niejednego słuchacza; dlatego dobrzy ludzie, kiedy sobie w serce z winem naleją dobroci, użalają się zawsze nad takim instrumentem i jeden leje w jego wnętrze wino, drugi kieliszek koniaku, inny sardynki w nie wrzuca, cytrynę, cygaro. A to zwierzę wszystko pożera i znowu płacze, i łka, i rzezi, i flaki z siebie wśród wycia wypruwa.

Za bufetem siedziała panna tłusta, przy pianinie mistrz bardzo chudy. Panienka miała piersi takiej niezwyklej obfitości, że mogła nimi wykarmić nie tylko małe i skromne w wymaganiach niemowlę, lecz stu Tatarów, chciwie i bez opamiętania przez dzień cały kobyle mleko pijących. Aż dziw brał, że w jej pobliżu mógł się uchować ktoś tak bardzo chudy jak to widmo, pieszczelami palców tłukące w pieszczele klawiszów. Od samego patrzenia na tę miłą panienkę można było przybrać na ciele. Siedziała za tym bufetem, ponura jak sowa, licząc kostki cukru i plasterki cytryny. Ilekroć spojrzął kto na nią, uśmiechała się jak ropucha, kiedy sobie przypomni kochanka.

Ponieważ była to niedziela, w speluncie było sporo gości, nie tak wielu jednak, aby ich to biedactwo spoza bufetu nie mogło zmieścić na swoim łonie bez wielkiego trudu.

U wejścia przywitał mnie dyrektor kabaretu.

Ujrzawszy tę twarz, wzdrygnąłem się. Indywiduum było we fraku, którego cokolwiek wytworny nieboszczyk nigdy na siebie nie pozwoliłby włożyć. Wierzgałby jak koń. W brudnym gorsie, widocznie przyczepionym do niewidzialnej koszuli, tkwiły dwa bezcenne szkiełka, zrobione na brylanty. Spodnie ułożone były w harmonijkę. Indywiduum miało jednak twarz niezwykłą. Był to starszy już pan, sędziwy, z bródką szczecinową, podobną do koźlej. Oczy miał bystre, czarne i mądre. Na twarzy bladej i niezwykle inteligentnej widniały głębokie bruzdy, jakby ślad po cierpieniu, co przez tę twarz o szlachetnym wyrazie przeszło jak ostry pług. Czoło wysokie, mądre, czoło człowieka myślącego i nieustannie trapionego czymś, co się w nim, w głębokim wnętrzu tłamsi i przewala. Była to twarz zabiedzona, bladeścią swoją przechodzącą w siność, niepokojąca, brzydka, a jednak w brzydocie swojej pociągająca. Miało się wrażenie, że to wielki pan, rasowy szlachcic, pobity jakimś nieszczęściem, przywdział frak, ohydny i zatłuszczony, i na dnie życia żeruje, aby żyć.

Jedno w tej twarzy dziwacznej było naprawdę śliczne — to uśmiech. Uśmiech smutny, cichy, jakiś rozrzewniony, miły i dobry, a równocześnie zbolący i ironiczny, uśmiech zimnej, dotkliwej pogardy nie schodził z pergaminu tej twarzy i wciąż się błąkał, wciąż się wił wkoło kącików ust.

Człowiek ten wyglądał jak stary arystokrata, co się zabłąkał do zbójeckiej spelunki.

Kiedy wszedłem, ocenił mnie jednym ruchem mądrych swoich oczu i szybko podszedł ku mnie. Wtedy zauważyłem, że chromał silnie.

Z ukłonami doprowadził mnie do stolika w pobliżu bufetu, spoza którego spływał ku mnie dziewiczy, lecz tłusty i gęsty jak zjełczone masło, uśmiech.

Pan z kozią bródką widocznie mnie wyróżniał z niewielkiej gromadki gości tak rozbawionych, jak gdyby to był raut paralityków albo doroczne święto w klubie samobójców.

Atmosfera była ciężka, duszna i parna.

Pan dyrektor objaśnił mi, że straciłem dwa numery programu, lecz że nie mam czego żałować, gdyż były słabe. Za chwilę jednak zaczną się atrakcje wyborowe, wobec czego słuszne wydało się pytanie, czy będę jadł kolację w tym wytwornym zakładzie? Nie, nie będę jadł kolacji. Kto jednak przychodzi do kabaretu, ten szuka pewnie podniecia do szaleństwa i takiemu pewnie jest wszystko jedno. Komu jest wszystko jedno, ten się zwykle upija. Nie miałem wprawdzie do tego najmniejszej ochoty, łatwiej jednak zwlec dwie godziny z butelką, niż bez niej. Do butelki można gadać, a ona nie odpowiada, słusznie też najwięksi mędracy uznali flaszkę za jedyną towarzyszkę, godną człowieka.

Wobec tego zwróciłem się do sympatycznego dyrektora, który z uśmiechem łagodnym i mądrym czekał rozkazów.

— Jakie macie wina?

— Najgorsze na świecie — odrzekł łagodnie dziwny ten człowiek.

Odpowiedź była imponująca.

Uśmiechnąłem się.

— Dobrych win nie ma już nigdzie — mówił on — łajdactwo ludzkie nie uszanowało nawet wina. Cóż możemy panu dać? Trochę wody sodowej z drożdżami i z landrynkami. Jak pan każe, aby się to paskudztwo nazywało? Nazwy są stare i autentyczne.

Spojrzałem z podziwem na tego szczerego człowieka i on w tejże chwili spojrzał mi w oczy. Coś mnie tknęło. Tę ciekawą i niezwykłą twarz już gdzieś widziałem. Ale gdzie?

— Przed dwoma dniami, panie! — rzekł cicho dyrektor.

— Co się stało przed dwoma dniami?

— Widział mnie pan w domu swego wuja.

Stropiłem się. Cóż za indywiduum? Czyta w myślach, czy co?

— Pan jest odgadywaczem myśli?

— Bynajmniej, ale grymas twarzy człowieka, który chce sobie coś przypomnieć, jest bardzo łatwy do odczytania. W tej chwili zaś mógł pan zajmować się tylko moją mizerną osobą.

Wszak to jasne!

— Tak, to jasne... Niech pan usiądzie, panie dyrektorze.

— Dziękuję bardzo. Jest pan bardzo uprzejmy. Za chwilę odrabiam mój numer na tej przeklętej estradzie, ale mam jeszcze czas...

Przynieśli jakiegoś nowo narodzonego szampana, straszliwa zaś Fizjonomia kelnera, na której widok zadrżałby z radości każdy sędzia śledczy, zapytywała mnie, czy nalać także dyrektorowi? Kazałem nalać skwapliwie.

— Musi pan pić to, co pan sam nawarzył — rzekłem, wcale tym pocieszony, że znalazłem współnika do nieszczęścia, szampan tak bowiem wyglądał w istocie jak nieszczęście. Był bladożółty jak człowiek, który z rozpaczony nie śpi, cierpki jak beznadziejnie chory, kwaśny jak człowiek chory na wątrobę i czuć go było korkiem. Wysoka marka, jednym słowem.

— Pije się nie wino, tylko radość, która chodzi za winem i pije się duszę człowieka przy winie — rzekł dyrektor.

— Pięknie powiedziane... Więc ja pana widziałem na pogrzebie mojego wuja? Tak, teraz sobie przypominam... Czy pan był jego przyjacielem?

— Nie miałem zaszczytu znać tego dostojnego człowieka.

— Aj! Dlaczegoż tedy miał pan taką zmartwioną minę?

— Jednego człowieka mniej na świecie, chociaż to mały powód do żałości. Właściwie to ja dlatego byłem zmartwiony, że to kogoś innego chowają, a nie mnie.

— No! no! A któż była ta pani w grubej żałobie, którą pan prowadził pod rękę, co tak bardzo płakała?

— Chciał pan pewnie powiedzieć “gruba pani w cienkiej żałobie”. To była moja żona. O, siedzi w tej chwili za bufetem.

— Niepodobna! A cóż żonę pańską łączyło z moim wujem?

— Nic.

— Nie rozumiem! Więc czemu ta kobieta płakała?

— Bo to, widzi pan, ja jestem równocześnie przedsiębiorcą pogrzebowym...

— O! o! o!

— Tak, panie. Miałem zaszczyt własnoręcznie brać miarę z nieboszczyka, pragnąłem bowiem, aby trumna była wygodna. Nie będę dodawał, że czyniłem to z całą możliwą delikatnością, aby zbytnio szanownego nieboszczyka nie miętosić, jak to jest w zwyczaju. Pan pojęcia nie ma o brutalnej bezceremonialności, z jaką się zazwyczaj ci szakale, którzy urządzają pogrzeb, odnoszą do dostojnych zwłok.

— A pańska żona?

— Udział mojej żony w tym smutnym obrzędzie był raczej natury artystycznej. Moja żona była kiedyś aktorką i grywała żałośliwe i rzewne role. Matka, której jednego dnia umarło siedmioro dzieci nie potrafi tak zapłakać, jak to bez najmniejszego powodu potrafi ta genialna kobieta... Czy pan pozwoli, że pošlę jej szklaneczkę tego podłego wina. Należy się to jej talentowi...

— Ależ proszę, całą butelkę!

— Dziękuję panu. Butelka w istocie większą jej sprawi radość, niż taki naparstek. Niech to będzie zapłata za jej rzewne łzy, którymi skropiła wujowi pańskiemu drogę do wieczności.

— Ale skąd te łzy?

— Właśnie chcę panu powiedzieć. Dostojny i czcigodny nieboszczyk jak panu pewnie wiadomo, nie odznaczał się zbytnią hojnością. Sądzę, że nie obrażę pańskiego bliskiego krewnego, jeśli powiem obrazowo, że pies byłby go nawet opuścił, nie mogąc w domu pana znaleźć kości do ogryzienia, gdyż pan czynił to sam.

Pokiwałem smutnie głową.

— Tak, panie — mówił dyrektor — ponieważ nikt nie wiedział, że pan przyjedzie, aby oddać ostatnią przysługę temu zacnemu człowiekowi...

— Bynajmniej! Ja przyjechałem po spadek!

— Jest to też pewna forma serdecznej pamięci o umarłym, który musiał odczuć żywą przyjemność, że majątek jego zabierze człowiek tak bardzo miły jak pan.

— Niech będzie!

— Ponieważ tedy szlachetny nieboszczyk chciał mieć pogrzeb wystawny, widocznie dlatego, że się wstydził życia i zostawił u rejenta niemłą sumę na tę uroczystość, zaangażowałem moją żonę do wylania możliwie jak największej ilości łez. Myślę, że wywiązała się ona doskonale z roli swojej smutnej i raniącej serce. Czy pan był zadowolony?

— Niech pan podziękuje swojej małżonce. Płakała tak rzewnie, jak gdyby to ona dostała spadek, a nie ja...

— Dziękuję panu, mówi przez pana artysta... Ale, jeśli pan pozwoli, powrócę za pół godziny, gdyż teraz muszę iść na estradę. Zobaczy pan niezwykle sztuki magiczne.

— Czekam z niecierpliwością!

— Do widzenia!

Pan dyrektor, powłócząc za sobą lewą nogę, grubo dziwacznym butem sztukowaną, poszedł na estradę. Wygłosił krótką przemowę do publiczności, już przyzwoicie urzęniętej, która go przywitała oklaskami jak starego znajomego. Skłonił się jednak tylko mnie.

Co za wyborny człowiek! Przedsiębiorca pogrzebowy, dyrektor kabaretu, czarny magik, dusza zdaje mi się przez pół błazna, przez pół smutnego człowieka, idiotycznie szczery, bombastyczny i skromny, haniebnie ironiczny. Patrzyłem ciekawie, co potrafi jako sztukmistrz. Pokazał z początku kilka sztuczek, które się widuje w każdym podlejszym cyrku, z kartami, pierścionkami i zegarkami, pożyczanymi niechętnie przez publiczność; po czym wyjmował z ust płonące pakuły, dymił jak lokomotywa, przecudownie udawał głosy zwierząt i ptaków, wreszcie pokazał sztuczkę niebywałą i trudną; zniknął na mgnienie oka i zaraz się ukazał. Nie

byłem pijany i przetrarłem palcami oczy, chcąc się przekonać, czy nie śpię albo czy nie uległem sugestii. Dyrektor dojrzał ten ruch z estrady i uśmiechnął się do mnie.

Publiczność oklaskiwała go z lęklwym zapalem.

Ja — przyznaję — zdumiony byłem doskonałą precyzją tego szarlataństwa, toteż zupełnie szczerze oklaskiwałem mojego przygodnego przyjaciela i składałem mu żywym tonem życzenia, kiedy powrócił do mojego stolika.

— Sztuczka pańska ze zniknięciem, bez żadnych zasłon i bez parawanów, jest znakomita. Jak się to robi?

— Po prostu, znika się.

— Ale jak?

— To trudno wyjaśnić. Właściwie to nie jest żadna sztuka: zniknąć. Tyle rzeczy znika na świecie, majątki, ludzie, żony, kochanki i nikt się nie dziwi. Moja sztuczka jest dlatego dziwna, że ja się ukazuję z powrotem. Mnie wolno, bo to w kabarecie. Wielu jednak ludzi ze straszliwym, nieco gwałtownym spotkałoby się przyjęciem gdyby, raz zniknąwszy, ukazali się z powrotem. Gdyby tak szlachetny wuj pański, który zniknął w wieczności... Ach, ja tylko żartuję, niech się pan łaskawie nie gniewa. Stamtąd mało kto powraca...

— Mało kto? Stamtąd chyba nikt nie powraca!

— Tak ściśle tego powiedzieć nie można. Ale, wracając do dalszych tematów — jest jedna osoba na świecie, którą bym chętnie nauczył sztuki znikania, nie nauczywszy jej sztuki powrotu... Niech pan nie patrzy w stronę bufetu... Ostrożnie! Gdyby tak, och, ona... Moja żona...

— Ach!

— Żona moja jest aniołem, drogi panie... Ale w życiu to i anioł, widzi pan...

— Napijmy się! — rzekłem czym prędzej — pan się robi ponury...

— Owszem, jeśli pan łaskaw, to się chętnie napiję. Za chwilę będzie tu pusto. Czy panu się bardzo śpieszy?

— Wyjeżdżam o ósmej jutro, a spać mi się nie chce. Chętnie z panem pogadam.

— Ja jeszcze chętniej. Ale, niech się pan nie gniewa za moją bezczelność, czy mogę mojej żonie posłać w pańskim imieniu coś do wypicia?

— Ależ najchętniej! Kelner wino!

— Może nie wino? Coś silniejszego... Butelkę rumu na przykład?

— Rumu? Kobiecie? Butelkę?!

— Ach, ona wytrzyma. Jest to istota łagodna, ale silna. Silny trunek działa na nią zresztą kojąco... Do rumu czuje specjalną predylekcję, bo ją rozmarza. Ja także, jeśli pan pozwoli, i panu też radziłbym zmienić to obrzydliwe wino na coś mniej obrzydliwego.

— Koniak?

— Pan niech pije koniak, a ja — jeśli wolno — proszę o wódkę. Czystą, zwyczajną wódkę.

Kazałem podać. Mój wuj obrócił się w grobie i sieknął — najwyraźniej słyszałem.

— Wódka — ględził miły ten człowiek — ma wiele szlachetnych właściwości: uśmierza bóle, podnieca temperament, porusza leniwą, ciężką krew północną. Poza tym przypomina kryształ źródlanej wody, więc może dlatego niewinni Sarmaci tak ją lubią. U nas więcej zimy niż lata, więcej lodu niż słońca. A wódka to jest roztopiony lód. Każdy naród pije w tym sensie. Włoch i Francuz pije roztopione na złoto słońce, my lód. Dlatego Polak tak się prześlizguje po życiu jak na łyżwach i dlatego się tak często zatacza, bo mu ślisko. Smutek Polaka jest tak gorący, że go musi oziębic wódką, smutek innych narodów jest zimny, więc go podlewają winem. My jednak mamy tę niezaprzeczoną wyższość nad każdym narodem świata, że potrafimy pić wszystko. Pod tym względem mamy genialne zdolności. Gdyby Hiszpan wypił butelkę czystej, umarłby w mękach, a Polaka podnieci to tylko do wypicia hiszpańskiego wina. Mocny naród i ochoczy do wypicia. Trzeba bowiem umieć pić. Widok pijanego na wesoło Polaka jest krzepiący. Co za siła, panie drogi, jaka wytrzymałość i jaka otwartość! Anglik pije jak rzeżymieszek, po kryjomu, nieładnie. Z tego powodu mam dla tego narodu uczciwą pogardę. Francuz pije prześlicznie, Niemiec brzydtko. Jak mogło piwo zwyciężyć wspaniałą, i bohaterską moc wina? To śmieszne. Zaczyna mnie też martwić nie na żarty powolne przywykanie Francuzów do piwa. Och, to są niedobre i niebezpieczne rzeczy! Myślę o napisaniu odezwy publicznej do Francuzów, aby pili tylko wino, a piwo będzie obłożone narodową klątwą. W ręce pańskie!

— Dziękuję! Ten koniak jest rodem z piekła.

— Z piekła? Niech pan nie myśli, że wszystko, co jest rodem z piekła, jest złe. Wyjąwszy oczywiście kobiety. Myślę jednak, że i piekło samo tego nie chciało, co w imieniu jego potrafi uczynić kobieta. Ha!

— Czyż nie ma kobiet niebiańskich?

— Są, oczywiście, że są. Ileż razy diabeł przybiera postać anioła! Jest to jeden z najstarszych i najbardziej banalnych podstępów piekielnych. A propos piekła: moja żona kłania się panu, bo już odchodzi. Pan pozwoli, że poproszę ją o urlop i pożegnám ją w pańskim imieniu.

— Gdzie państwo mieszkają?

— W tym lokalu, że tak powiem: w przedsionku świątyni sztuki. Ot, tam za tą kotarą są drzwi, które prowadzą do naszych apartamentów. Są one dość skromne, bo przerobione ze składu na rupiecie, z tego powodu panuje tam zapach muzealny, choć jedynym okazem starożytnej sztuki jest tam moja dostojna małżonka.

— Proszę jej złożyć moje uszanowanie!

— Dziękuję. Pańska uprzejmość jest tak wielka, że chce uczić potwora.

— Ależ, panie! Jakże można...

— Można, panie — odrzekł on melancholijnie — Egipcjanie mieli świętego krokodyla, a ja mam moją żonę... Za chwile wracam!

Miły człowiek pokuszył się w stronę swoich "apartamentów".

Na sali, oddychającej ciężko wyziewami fuzlu, dymu cygar i tym zapachem tłustej ścierki, którego z podobnego lokalu nigdy nie wypłoszy najsilniejszy nawet strumień świeżego powietrza, nie było już nikogo. Rzezimieszek w straszliwym fraku obliczał w kącie przy stoliku wpływy z targu. Kazałem mu podać większą ilość alkoholu, uregulowałem z góry rachunek i poprosiłem, aby poszedł sobie do diabła, a pan dyrektor sam zgasi światła i pozamyka wejścia.

Zostałem sam. Zdawało mi się wprawdzie, że wychudzony i zielonkawy duch mojego wuja wypłynął spoza falistego pieca, zbliżył się ku mnie, długim palcem policzył butelki, po czym westchnął tak głęboko, jak duch ojca Hamleta w teatrze na prowincji.

Ale mi się tylko zdawało.

Byłem sam, a duch musiał się urodzić w butelce koniaku. Patrzyłem w stronę, skąd miał wrócić pan dyrektor. Słysząc tam było niejaki wrzaski mocno podniesione i miły głos mojego współbiesiadnika.

— Rum działa! — pomyślałem wesoło.

Nagle krzyknąłem. Dyrektor siedział obok mnie przy stoliku.

— Otóż jestem! — rzekł smętnie.

Nie widziałem, żeby wychodził z drzwi, dość odległych, w ogóle nic nie widziałem.

— Jak? Skąd pan się tu wziął? — szepnąłem niemal z lękiem.

— Zjawiłem się dość szybko, co pana pewnie dziwi, gdyby pan jednak mógł być obecny przy rozmowie mojej z żoną, dziwiłby się pan, że tak powoli stamtąd wyszedłem... A propos! Jest pan człowiekiem pełnym taktu i doskonałych manier. Muszę więc pana zapytać otwarcie, czy nie budzi w panu wstrętu fakt dość smutny, że będzie pan siedział przy jednym stole z człowiekiem, który przed chwilą został spoliczkowany?

— Pan?

— Wolalbym, ażeby to mógł być ktoś inny, ale nie było innej ofiary.

— Żona? To aż tak gwałtownie? Po cóż jej pan kazał pić rum?

— Bez rumu byłoby gorzej, rum zaś odjął jej mocnym nogom pewność ruchów, a silnym jej ruchom odjął tęgość i sprężystość, tak że zostałem obrażony dość lekko, raczej na duszy, niż na ciele.

— Biedny pan jest człowiek, drogi panie...

— Pańskie współczucie wylewa na moją steraną głowę najcudowniejsze balsamy. Od stu milionów lat nie było mi tak dobrze i tak radośnie. Dziękuję panu z całego serca. Przebywam ciągle wśród takiej hołoty, że godzina, spędzona z człowiekiem tak nienagannych manier, z człowiekiem o takiej jak pan wzniosłości ducha, jest dla mnie wiekiem szczęścia.

— Niech pan pije!

— Dziękuję! Nawet to paskudztwo wydaje mi się płynem przedziwnego smaku. Uczyńmy je nieco mocniejszym!

Podniósł do ust szklankę wódki i w tej chwili, kiedy ją zbliżał do ust, stało się coś strasznego; oczy jego pozieleniały, twarz stała się szara, a ze szklanki buchnął płomień siny i jadowity. Dyrektor pić go poczał z lubością i wypił do dna.

Porwałem się z krzesła. Głowa moja zmieniła się nagle w szczotkę do czyszczenia ubrania, tak przeraźliwy strach podniósł moje włosy. Chciałem uciekać!

— Co?... co... to było?... — wyjąkałem.

— Jedni lubią zimne, drudzy gorące! — rzekł dyrektor takim głosem, jak gdyby wydobywał go z brzucha. — Co pana tak zdumiało?

— Kto pan jest, na Boga! Kto pan jest? — krzyknąłem zduszonym głosem.

Nagle lampy przygasły jak w teatrze, zrobiło się bardzo cicho a dyrektor, podniósłszy się z krzesła, rzekł z ukłonem:

— Diabeł, ale do pańskich usług...

Coś mnie schwyciło za gardło, tak że mi brakło powietrza, czułem, że oczy moje wyłażą z orbit, serce poderwało się i zaczęło się dobijać do piersi, jak uciekający z pożaru człowiek dobija się do drzwi, nogi uginały się pode mną, jakbym zapadał w bagno; o włosach już nic nie wiedziałem, we wnętrzu głowy poczułem zimno dotkliwe, strach bowiem ściał mi mózg w bryłę lodu.

Straszliwy człowiek nagle posmutniał. Zgasił oczy jak zielone latarenki, na twarz wróciły mu zwykłe kolory. Lampy zajaśniały. I zaczął mówić z melancholią:

— Otóż to! Otóż to? I pan się przestraszył, nawet pan! Jest mi niezmiernie przykro, o nie umiem panu tego wyrazić, jak bardzo mi przykro. Niechże się pan uspokoi i usiądzie...

Zbliżył się ku mnie i siłą posadził na krześle. Dusza moja uciekła jak jelonek, opasłe ciało nie było w stanie uczynić najmniejszego ruchu. Wodziłem za nim wzrokiem zdumionym, przelękłym, na pół zwariowanym. W uszach mi szumiało. Serce uspokajało się powoli widząc, że mu się żadna krzywda nie dzieje. Miałem wrażenie, że ktoś mówi do mnie z oddali, jakby przez tubę.

A on mówił:

— To są skutki straszenia dzieci diabłem. I niech mi pan powie, co we mnie jest straszego? Taki sam jestem jak inni, trochę tylko brzydszy...

— Oczy!... — powiedziało coś we mnie, ale nie ja.

— Oczy?... Trochę mi zabłyśły. A u ludzi nie widział pan błyszczących albo zielonych oczu?

— Noga... — powiedziało znów coś we mnie, bez mojego wyraźnego współdziałania.

— Noga? No, cóż? Trochę nieforemna.— Trudno, drogi panie, kopyto. Wolę jednak moje diable kopyto, niż niektóre ludzkie nogi. Wie pan, co to jest podolska stopa? Otóż ja wolę moje kopyto. W każdym razie jest ono raczej końskie niż ośle, które się dzisiaj zdarza u ludzi. I cóż nadzwyczajnego w mojej nodze?

— Pan pił ogień!... — rzekłem konającym głosem.

— Gdyby pan to mógł znieść, piłyby pan także w ten sam sposób. Pozwoli pan, ale nawet diabeł nie może znieść wyrobionego z kartofli przez ludzi paskudztwa w jego niezmienionej postaci. Wolę już w ognistej formie. No! no! Spokojnie, spokojnie... Nie taki diabeł straszny. Prawda?

— Prawda...

— I już się pan nie boi?

— Coraz mniej...

— Więc bez trwogi i jasno patrząc na rzeczy, widzi pan teraz, jak brzydkich sposobów od wieków używa konkurencja do pohańbienia diabła. A czarny, a ma rogi, a wściekły, a z gęby bucha mu płomień, a czyha na duszę ludzką... Panie! Ja w życiu moim nie zrobiłem nikomu nic złego. Cóż ja zresztą mogę, biedny, niezłośliwy diabeł wobec człowieka? Za to ile diabeł potrafi wycierpieć od człowieka, tego nikt by nie zliczył... Jakże tam z samopoczuciem?

— Coraz lepiej, tylko niech pan nie robi żadnych sztuk!

— Cha! cha! — zaśmiał się diabeł — mój repertuar jest mocno ograniczony. Wszystkie moje sztuki pokażę panu na żądanie. Kilka pan już widział zresztą. Napijmy się!

— Napijmy się! Z panem rozmawia się bardzo miło. Jednak bardzo mnie pan przestraszył.

— Przysięgam panu, że przestraszyłby się pan tak samo, gdyby pan nagle ujrzał anioła. Tylko, że go pan nie zobaczy. Diabeł jest to istota bliższa człowieka, bardziej ciekawa życia i bardziej towarzyska. Anioł, panie, to jest hrabia, arystokrata, stworzenie subtelne i delikatne, więc niechętnie wchodzi w ziemską atmosferę, która, prawdę powiedziawszy, brzydko pachnie. A diabeł, zdrowy cham, brat łąta, dobry kompan, stary znajomy, bez fochów, bez min, bez pretensji wlezie wszędzie i wszędzie mu dobrze. Przy tym aniołowi bardzo jest trudno pokazać się wśród ludzi; musi bowiem przybrać kształt poetyczny, rzewny i nadobny, musi być młodzieńcem z pięknymi lokami, z długą laską w ręku, biało ubrany. Niech pan sobie wyobrazi pojawienie się takiej cudownie rzewnej istoty w ludzkim, szarym tłumie! A diabeł, drogi panie, tak jest podobny do człowieka, a raczej człowiek tak jest podobny do diabła, że najbystrzejsze nawet oko ich od siebie nie odróżni. Czy pan byłby się domyślił, kim jestem, gdybym panu tego nie powiedział?

— Być może, że nie... chociaż pańskie nagłe pojawienie się...

— W kinematografie robią jeszcze lepsze sztuki...

— Więc niech mi pan powie... Nie wiem, czy wolno?

— Dumny jestem z tego, że pan pyta diabła o pozwolenie i że pan tak doskonale przestrzega form. Zazwyczaj pędza się nieszczęsnego diabła jak psa. Proszę, niech pan raczy zadawać mi pytania.

— Skąd się pan tu wziął? Dlaczego tu i dlaczego w tej postaci? Przecież pan, istota potężna...

— Potężna? Och, młody, miły panie! Jakież fałszywe informacje! Co pan nazywa potęgą? To, że potrafię oczy zrobić na zielono? Albo, że piję wódkę z ogniem? Pierwszy lepszy ucziwie fachowy pijaczyna zrobi to samo. Umiem wprowadzić wiele sztuk w podobnym rodzaju, znacznie efektowniejszych, ale i na tym koniec. To są środki, drogi panie, mniej lub więcej zręczne, mniej lub więcej dowcipne sposoby...

— Do czego?

— Do utrzymania dobrego imienia firmy. Piekło jest w stanie bankructwa. Człowiek zaczyna być mądrzejszy, sprytniejszy i zręczniejszy od diabła.

— Niemożliwe!

— Niestety, ale możliwe. Tę garstkę pozornych tajemnic, których diabeł używał, aby sobie zapewnić poszanowanie i jaką taką pozycję w świecie, człowiek odgadnął już prawie zupełnie. Żaden patent nas nie chroni, drogi panie! A niech pan pomyśli, jak się piekło musiało wysilać, aby swoje sztuczki otoczyć nimbem cudowności, grozy, albo straszliwości. Trzeba było awantur z Łysą Górą, z miotłą, z czarownicami, z kozłem, z mopsem, z dwunastą godziną,

z namaszczeniem się zaczarowanymi maściami, z wylatywaniem przez komin. A skutek? Skutek był taki, że jaka łaciata, stara krowa w jakiejś wsi przestała dawać mleko i trzeba było spławić czarownicę. Hajże wtedy na diabła! Czy to się panu wszystko nie wydaje dziś śmieszne? Czarownice! Każda aktorka starczy za wszystkie spalone czarownice.

— Niestety...

— Albo z tym lataniem, drogi panie. Diabeł latał na rozpostartej płachcie, latał niezręcznie, niewygodnie i w dość groteskowy sposób. Niech pan teraz pomyśli, z jaką zawiścią patrzeć musi diabeł na aeroplan. I niech się pan zastanowi, że jednak diabeł nie potrafił w przeciągu niewielu chwil oblecieć ziemi dookoła świata... A radio? Panie, człowiek jest straszliwy! Człowiek zgubi diabła, co mówię? Już go zgubił..

— Co też pan mówi?

— Mówię z goryczą, lecz mówię prawdę. Metody diabelskie człowiek udoskonalił i sprecyzował. Diabeł musi się pocić, klecić niebywałą intrygę, używać do niej dziesiątków ludzi, wysilać dowcip, aby na przykład sklecić oszczerstwo. Wtedy wpada w szal radości, że jest genialny i że potrafił dokazać tego, że jeden człowiek oczernił drugiego. Ha! Niech pan teraz weźmie do ręki byle gazetę i niech pan powie, kto lepiej potrafi, diabeł, czy człowiek, człowiek ze stu wierszami druku!

— W istocie, pan mnie zdumiewa!

— Zdumiał bym pana więcej, lecz trzeba by na to długiego czasu i niebywałej ilości wina, aby go uprzyjemnić, by panu wykazać bankructwo diabła, istoty pożytecznej i pożądanej...

— Pożytecznej? Pożądanej?

— Tak panie! Jak pewne ciała w organizmie ludzkim, tak diabeł konieczny był w organizmie świata. Diabeł wytwarzał ruch, życie, temperament, wprowadzał życie w stan wrzenia, podniecał umysł i na nieszczęście swoje zaprawiał człowieka do walki ze wszystkim tępym, nieruchawym i bezpłodnym. Diabeł nauczył Kaina wojny, prawda! — Noego pijaństwa — prawda! — ale Greka nauczył rzeźby, a Horacego pisania wierszy o sztuce kochania. Borgiowie to były diabły, przyrządzające truciznę, ale Szekspir był też diabłem, który wiedział o człowieku więcej, niż najuczeńszy diabeł z fachu. Wolter był to diabeł straszliwy, złośliwy i dowcipny, Napoleon był to diabeł wspaniały i pyszny. To wszystko kość z kości naszej. Piekło było chmurą, ciężką i niekształtną, ponurą, brzuchatą i ciężarną, a ci ludzie to były błyskawice z tej chmury. My umieliśmy zbierać materiały, oni, wykorzystując nas i naszą głupotę, robili z tego swoje niesłychane kariery. Człowiek nas okradał zawsze z pomysłów, z idei i wynalazków. Okradał też i niebo, ukradłszy mu piorun.

— Czemu pozwalacie na to?

— Pan zapomina, że jesteście pod kuratelą i że nie mamy prawa jawnej reprezentacji. W lesie życia uprawiamy jedynie kłusownictwo, myśliwym zaś, polującym jawnie i precyzyjną bronią jest człowiek.

— Biedne diabły!

— Dziękuję panu za dobre słowo... To, co panu mówię, jest powiedziane z grubsza; odmalowałem panu tragedię diabła w ogólnych zarysach. Traktując rzecz dokładnie, rozpatrując ideę diabelską w jej olbrzymim rozroście, we wszystkich przejawach życia, trzeba by napisać tomy, mówić o tym przez całe lata z katedry. Zresztą cóż ja wiem? Nic. Jestem diabłem siedemdziesiątego stopnia, więc diabłem lichym i mizernym. Musi pan wiedzieć, że wszelki ezoteryzm brał stopniowanie w hierarchii wtajemniczeń z systemu naszego. Ja tedy jestem diabelskim pachołkiem, proletariuszem piekła, muszę dodać: inteligentnym proletariuszem...

— Miałem zaszczyt już to zauważyć...

— Och! jestem wzruszony... Są jednak diabły wybitne, mądre, są genialne. Ci by potrafili panu wykazać, co i ile zawdzięcza nam człowiek, najbardziej chytra istota we wszechświecie.

— Pozwoli pan jednak zapytać: pan ludzi nienawidzi?

— To za wiele powiedziane. Ja się ludzi boję, a nie bardzo kocha się tego, kogo się lęka.

— Dlaczegoż pan nosi postać ludzką? Czemu pan siedzi tutaj ze mną i żyje moim życiem?

— To konieczność, proszę pana, i to jest moja przeraźliwa tragedia. Zostałem z piekła wydany...

— Wydany? Z piekła? Pan żartuje! Piekło niczego nie oddaje.

— Jest to jeszcze jedna fałszywa o piekle legenda. Zostałem w istocie pozbawiony prawa zamieszkiwania w piekle. Stąd mój smutek i moja nostalgia. Wszystkiemu jest winna redukcja.

— Cha! cha! cha!

— Śmiech pański rani moje serce. Ja bynajmniej nie żartuję. W piekle nastąpiła redukcja.

— Czemu?

— W piekle są bezrobotni, proszę pana. Wyłumaczę to panu w dwóch słowach. Otóż, widzi pan, kiedy świat jako tako uprawiał cnotę, czyli jak się u was mówi, żył "po bożemu", było u nas dość pusto. Trzeba było zdobywać ludzi, trzeba było zabiegać, robić starania,

wyprawy, połowy. Diabłów wysyłano na świat jako komiwojażerów i diabli wychodzili z siódmej skóry, aby zdobyć kogoś dla piekła. Rozumie pan?...

— Rzec nie jest trudna do pojęcia.

— I ja, choć diabeł najniższej rangi, miałem zajęcie, nawet dużo zajęcia. Raz przez lat siedem kusilem kasjera, aby okradł kasę. Pół roku trzeba było w tych dobrych czasach namawiać panienkę, aby się zapomniała. A dziś? Dzisiaj, drogi panie, do piekła zdąża tłum — sam, z własnej woli, obrzydliwy tłum, ludzie nowi, nieinteresujący, ze złymi manierami, pachnący źle, źle ubrani, nijacy. Po cóż tu diabeł? Co drugi człowiek nauczył się kraść, co trzeci oszukiwać, co czwarty robić najbrudniejsze interesy, a każdy gra na giełdzie. Proszę pana! Przed dziesięciu laty na lekarstwo nie znalazł pan w piekle kupca. Niech pan pójdzie i zobaczy teraz...

— Pozwoli pan, że nie pójde — wierzę na słowo.

— Ach, tak się to tylko mówi. Pan ma jeszcze czas. Ale powiem panu rzecz dziwniejszą. Oto rarytasem w piekle był polski szewc.

— Nie może być!

— Tak jednak było. Był to naród twardy, uczciwy, pobożny i dzielny. Łatwiej było o kardynała w piekle, niż o takiego szewca.

— A dziś?

— Może pan z szewców w piekle wystawić armię. Strach, co się robi z tymi ludźmi. Za szewcami przyszli krawcy, za krawcami inni. Więc cóż ma do roboty diabeł? Nic. Chyba utrzymywać porządek u wejścia, aby się hołota zbyt nie pchała. Nigdy piekło nie wyglądało hołotniej, niż teraz. Toteż połowę diabłów niższej kategorii diabli wzięli, to jest, chciałem powiedzieć — zwolniono i rzucono na bruk. Na bruk, to znaczy, przeniesiono nas na ziemię, gdzie jest płacz i zgrzytanie zębów. W ten sposób i ja się tu dostałem, i płacę.

— Tak panu źle?

— Źle? Panie, ja jestem najniezwyklejszą istotą na ziemi.

— No, no, no!

— Nie wierzy pan? Przecie pan widzi, czym jestem i gdzie jestem! W parszywym, zabłoconym mieście i pokazuję sztuki w kabarecie.

— Widzę, ale nie rozumiem. Z pańskimi sztukami i pańską inteligencją może pan żyć jak książkę w Paryżu.

— Nie, panie, nie mogę. Moje głupie szarlataństwa są dobre dla tej hołoty, trudniejsze rzeczy też tylko dla niej. W Paryżu zbyt by się mną zainteresowano, co byłoby dla mnie niezbyt bezpieczne. Zresztą siedzą tam diabły całym tłumem, wszystko gnało do wielkich

miast. Kilku znalazło miejsce w dyplomacji, wielu otworzyło knajpy i domy gry. Ja jestem skromny i nie jestem dość przygotowany do wielkiego życia. Tu wegetuję, zacisnąwszy zęby. Tu zresztą przedtem byt teren mojego działania, znam kraj i ludzi. Ryzykować nie chcę, zresztą zżarta mnie tęsknota za piekłem. Dość już i tu miałem przejść.

— To pan nie od początku w takiej poniewierce?

— Nie. Próbowalem rozmaitych zawodów. Z tym była pewna trudność, bo jak pan widzi, ta moja nieszczęsna noga bardzo mi przeszkadza; z taką nogą nie mogę być listonoszem, posłańcem, aktorem, śpiewakiem, cyklistą, żołnierzem, nie mogę być nauczycielem tańca — wiele zawodów jest dla mnie zamkniętych. Pracowałem więc na sto innych sposobów i zarobiłem trochę grosza.

— To doskonale!

— Niestety! Przystąpiłem do spółki z jednym człowiekiem i człowiek mnie okradł. Grałem potem na giełdzie i poszedłem z kwitkiem. Jestem zrujnowany i ot, jak teraz pracuję. Płakać mi się chce, ile razy wyłażę na tę estradę.

— Przepraszam pana! Pozwolę sobie, ale niech się pan nie gniewa...

— Niech pan mówi...

— Otóż z pańskim sprytem, z pańską fenomenalną zręcznością, z pańską diabelską umiejętnością znikania, mógłby pan...

— Co? śmiało! śmiało!

— Mógłby pan zrobić majątek, jaki by się panu podobało!

— W jaki sposób?

— W jaki? No!... W najprostszy... Pierwszy lepszy bank... Rozumie pan... Pierwsza z brzegu kasa... Pierwszy w ulicy jubiler...

— Co takiego?

— Niech się pan nie gniewa, ale to przecież takie proste...

— Nie, panie! To nie jest proste. Nie gniewam się, bo to mówi człowiek. Człowiek nie wyobraża sobie, żeby nie można było i że nie należałoby skorzystać z pewnych zalet diabelskich. Ale, widzi pan, diabeł nie kradnie, choć okradają diabła. W pakcie z człowiekiem zawsze człowiek oszukiwał diabła nigdy na odwrót. Diabeł wierzył w ludzkie słowo, człowiek uważał, że nie należy go dotrzymywać. Miał łatwą ucieczkę i zawsze uciekał. Diabeł jednak przestrzega prawideł honoru. Honor nie pozwala kraść.

— Przepraszam pana bardzo...

— Ach, nie ma za co. Pan nie mógł myśleć inaczej. O diabłach nikt nigdy dobrze nie myślał. Wiele rzeczy ludzkich napętnia mnie boleścią, wiele rzeczy mnie śmieszy, wiele irytuje. Najbardziej jednak psuje mi zółć nawyk człowieka do pomiatania diabłem. Człowiek sam nie wie, po co i dlaczego sypie z gęby swoje niemądre powiedzenia o diable. Na każdym kroku może pan usłyszeć: “Idź do diabła!” — “niech cię diabli porwą!” — „czarci syn!” — “diabelskie nasienie”; piękna w swojej grozie góra będzie zawsze “czarcia góra”, niebezpieczna przełęcz “diabelskim przesmykiem”. Niech będzie! Jedno jest głupie, drugie, owszem, wypływa z podziwu dla diabła. Niech mi pan jednak wytłumaczy, skąd się wzięło powiedzenie “szatański uśmiech”? — albo „zaśmiał się jak szatan”?

— W istocie, nie wiem...

— Ja wiem. Człowiek swoje wiadomości o diable czerpie z opery. Idiota aktor, robi w niej diabła i wydobywa z brzucha rechot żabi, który nazywa się “diabelskim” śmiechem albo “piekielnym” śmiechem.

— A jakżeż śmieje się diabeł?

— Diabeł nie śmieje się nigdy. Nie ma we wszechświecie istoty bardziej smutnej, nie ma nigdzie istoty bardziej zbolalej, do głębi serca smętnej niż diabeł. Dlaczego? Są to już sprawy nie do towarzyskiej rozmowy. Zostawmy to. Otóż, wracając do mojej historii, jest jeszcze jedna trudność w moim życiu: nie mam dokumentów. Jak pan to łatwo rozumie, nie jestem ochrzczony, więc nie mam metryki. Na świecie znalazłem się w gotowej postaci, w tej w jakiej mnie pan ogląda, więc nie mam żadnego osobistego dowodu.

Uśmiechnąłem się, ale nic już nie powiedziałem. Diabeł zauważył mój uśmiech i odpowiedział na jego treść.

— Sfalszować? Nic łatwiejszego, ale, jak już panu powiedziałem, mam wstręt do oszustwa. Można żyć i bez dokumentów, a rzecz prosta, że łatwiej się uda w małym mieście, gdzie na to mało zwracają uwagi, niż w wielkim, gdzie ludzie wszystkiego są ciekawi...

— W jakim sposobie — przerwałem — nie mając metryki, mógł się pan ożenić? Ślub zresztą bierze się zazwyczaj w kościele...

— Panie! Łatwiej o żonę niż o dokumenty. Toteż uroczystej ceremonii mojego ślubu nie tylko nikt nie uwiecznił w aktach, ale też nikt jej nie oglądał. Moja żona spadła mi, rzecz można, z nieba... A ponieważ trudno było żądać od niebios, żeby mnie obrzucały z góry błogosławieństwem i szczęściem, toteż spadło mi z góry najsroźsze z nieszczęść.

— Ach, a takie dzikie stadło nie jest oszustwem?

— Bynajmniej! Jest to uczciwy interes, tylko że bez zwyczajowej aprobaty. Czasem to właśnie ślub jest ohydny oszustwem, bo przy ślubie składa się przysięgę, o której wie się z

góry, że się jej nie dotrzyma. Zresztą w sprawach miłości, tam gdzie ona sprzęga dwoje ludzi, nie ma nigdy oszustwa. Ludzie, a ja jestem człowiekiem, nigdy nie oszukują się, kiedy się schodzą, zaczynają to robić dopiero, kiedy się zesзли.

— Pan kochał swoją — żonę?

— Jestem w głębi serca sentymentalny...

— A czy ona wie, kim pan jest?

— Nie. Nie przypuszcza, że jestem diabłem, gdyż w takim razie miałyby dla mnie trochę więcej szacunku albo czułaby przede mną trwogę.

— Nic z tego nie czuje?

— Jeżeli uporczywe uderzanie przedmiotem przyzwoicie ciężkim po głowie jest dowodem szacunku, w takim razie jestem najbardziej szanowanym mężem.

— Po cóż pan to cierpi?

— Jestem człowiekiem, panie. Diabeł się we mnie buntuje, a człowiek pokorny cierpi. Zresztą romantyczny żywot wedle ludzkich pojęć, ta osobliwa miłość, której mi ta kobieta daje dowody, miłość nieco chmurna, nieco zbyt gwałtowna i bolesna, jest moją jedyną rozrywką. Poniewierany jak człowiek, zapominam, że jestem wolnym diabłem. Cierpienie moje jest mniejsze, tęsknota moja pozwala się zagłuszyć wrzaskiem tej baby.

— Nadzwyczajne! Pan tak tęskni?

— O, tak! Jest mi tak strasznie źle, że nie śmiem panu tego powiedzieć. Nie mogę żyć w zaduchu i w bagnie, wśród złodziei i opryszków, wśród małych świństw i małych, mizernych łajdactw. Chcę umrzeć!

— Któż panu przeszkadza? Czy tak trudno o śmierć?

Biedny diabeł spojrział smutno.

— Bez wątpienia! Łatwo, panu łatwo, wszystkim łatwo, tylko mnie trudno.

— Boi się pan?

— Co też pan, u licha, wygaduje! Ja pragnę śmierci, tak jak pan zapewne pragnie życia, bo inaczej jak przez bramę śmierci, nie mogę wrócić tam, dokąd pragnę wrócić z całej duszy, do swoich.

— Ale pana tam nie chcą...

— Zaczyna pan rozumieć sytuację. Tak, nie chcą mnie tam i nie pozwalają mi umrzeć. Kiedyś wreszcie to nastąpi, bo diabeł nie jest człowiekiem, więc nie jest zawzięty do nieskończoności, kiedyś się bracia moi ulitują nade mną i pozwolą mi stąd uciec jak z więzienia.

— Próbował pan umrzeć?

— Rzecz prosta! Myślałem wciąż, wciąż miałem nadzieję, że już jestem ułaskawiony, lub że mnie przyjmą, kiedy się u nich zjawię. Strzelałem do siebie, kula przeszła przez serce i stłukła szybę. Topiłem się, zanurzając głowę na całe godziny pod wodą i było mi tylko bardzo nudno, bo żyłem wciąż. Mój związek z tą babą nie był też tak bardzo bezmyślny; chciałem wzruszyć piekło moją męczarnią i pohańbieniem i miałem pewne widoki, że czego nie zdoła najbardziej niezawodny środek na sprowadzenie śmierci, to jednak zdołała potrafi kobieta.

— Rozumowaniu temu niepodobna odmówić głębokiej bystrości...

— Widzi pan! Jadłem cyjankali jak cukierki; kładłem się na relsach kolejowych i tylko wykolejałem pociągi. Stąd mój smutek i moja melancholia. Chciałem się w rozpaczę odurzyć, chciałem zapaść w coś, co jest choćby półśmiercią, w szaleństwo i przeczytałem wszystko, coście w ostatnich czasach napisali...

— I nic?

— Jak pan widzi... Nic!

— Nie było mowy o wieszaniu...

— Ależ panie! Ze dwadzieścia razy, nawet wspominać nie warto. Wisiałem godzinami, potem mnie zdjęli!...

— Panie?!...

— Służę panu...

— Czy pan mnie uważa za idiotę, czy tylko za człowieka pijanego?

— Pijany jest pan w stopniu przyzwoitym, a inteligencja pańska mnie zdumiewa. Nie ośmieliłbym się zresztą kpić z człowieka, z którym piję wino. To łączy ściślej, niż cokolwiek.

— I pan mówi prawdę?

— Powiedziałem panu przecie, że nic prócz ciała nie ma we mnie ludzkiego.

Przetarłem oczy i straszliwa myśl przyszła mi do głowy.

— Drogi panie — rzekłem — nie dlatego, abym panu nie wierzył... tylko dlatego, że jest to sprawa zdumiewająca...

— Warto zobaczyć, czy tak?

— Otóż właśnie!

— Cóż pan chce, abym czynił? Ma pan rewolwer?

— Niestety...

— Truciznę?

— Prócz tej, którą pijemy, nie mam.

— Czekaj pan! Jest tu solidny hak na ścianie, a sznurek się znajdzie. Powieszę się dla pańskiej przyjemności... Widzę, że jest jeszcze butelka koniaku, niech pan pozwoli, abym czego dobrego nie zostawił na świecie...

Wpadłem w gorączkowy stan podniecenia. Ten człowiek mówił poważnie. Pił długo, potem powiada:

— Niech pan westchnie, aby mnie wreszcie diabli wzięli!...

— Jeśli to panu ma zrobić przyjemność... Co pan robi, czyś pan oszalał?

— Wieszam się!

— Ja nie pozwolę!

— Panie kochany! Jestem jako tako pijany, ale wiem, co robię. Niech pan sobie pali papierosa i patrzy. Jeśli panu będzie nudno samemu, to mnie pan zdejmie, jeśli pan zechce odejść, niech pan odejdzie. Rano żona mnie zdejmie, a ja przyjdę pana odwiedzić przed wyjazdem. Dobranoc, tymczasem.

Stałem jak sparaliżowany, patrząc, jak ten szaleniec przywiązywał sznur do haka, wylazł na krzesło, w pętlicę sznura włożył głowę, zacisnął sznur, potem nogą kopnął krzesło. Nie miałem siły, aby krzyknąć. Miałem wrażenie, że sznur ścisnął moje gardło. Co ja uczyniłem, co ja uczyniłem!

Ten biedak wyprężył się, głowę skłonił na lewo, najformalniejszy wisielec. Z ust nie schodził mu drwiący śmiech. Oczy miał zamknięte. Nie wydał żadnego głosu. Wisiał spokojnie, bo musiał już umrzeć.

Strach mnie obleciał tak lodowaty, że zadrzałem, jakbym wpadł w wodę. Czułem, jak się na mojej głowie podnoszą włosy. Chciałem krzyknąć o pomoc i nie mogłem. Po co zresztą krzyknąć? Ten straszny trefniś śmieje się już w piekle. Okropny szarlatan przyplącił swój głupi żart życiem.

Wytrzeźwiałem i trzeźwo zacząłem myśleć, że jestem winien śmierci człowieka i że ja za nią jestem odpowiedzialny. O! o! o! Widziano, że zostałem z nim sam, widziano nas pijących.

Historia zaczęła się stawać ponura.

Wobec tego tchórz wylazł z nory mojego serca. Uciekłem. Chyłkiem, przemyślnie, czujnie, aby nikt nie zauważył. Strach biegł za mną, a ja biegłem przed strachem. Wpadłem do hotelu, zacząłem składać nerwowo rzeczy. Świt szarzał na szybach. Pociąg odchodzi za parę godzin. Rozpacz, rozpacz!

Osłabły, strachem nieustannym pobity, wiłem się i szalałem. Jeszcze dwie godziny, jeszcze jedna. Już jest jasny dzień, i już znaleźli tego tragicznego idiotę, pijaka, który omamił drugiego pijaka. Za chwilę będzie u mnie policja.

Ktoś puka do drzwi.

Serce we mnie drgnęło jak nagle spłoszony w brudzie zając. Chwyciłem ręką kurczowo krawędź krzesła.

— Policja! — jęknęła we mnie dusza.

Ktoś puka powtórnie, ponieważ zaś nie odpowiedziałem — wchodzi.

Na wszystkich diabłów wszystkich piekieł! Zatoczyłem się. Oczy moje wylazły z orbit. Na czoło moje wyszedł zimny pot.

On, on — we własnej osobie stał na progu i uśmiechał się drwiąco.

— Przepraszam — rzekł smutno — ale chciałem dotrzymać obietnicy.

— To pan?

— Cóż dziwnego? Mówiłem panu, że przyjdę. Trochę mi było smutno, że pan odszedł z kompanii i lekkomyślnie zostawił pół butelki płynu. Ale to ludzkie, staram się to zrozumieć. Gdyby się pan powiesił, ja bym jednak pana samego nie zostawił... Niech się pan nie gniewa...

— Strach...

— Rozumiem, rozumiem i nie mówmy o tym. To drobiazg wobec tego, że mi się znowu nie udało. Wisiałem parę godzin, nadaremnie. Panie, ja jestem bardzo nieszczęśliwy...

Poczułem w duszy wielkie wzruszenie. Tak, to jest najnieszczęśliwszy człowiek na świecie. Z mojego wzruszenia wyskoczyła nagle myśl genialna.

— Panie kochany! — krzyknąłem. — Ma pan czas?

— Sto, dwieście milionów lat...

— Za pół godziny wyjeżdżam do stolicy, jedź pan ze mną!

— Moje nieszczęście jest wszędzie to samo. Po co?

— Czy ja wiem? W wielkim mieście zawsze łatwiej o śmierć...

— Jadę! — krzyknął dyrektor.

— A pańska żona?

— Na prowincji łatwiej o męża.

W ten sposób stał się miły, stary diabeł moim towarzyszem. Miałem do niego niepojętą słabość, lubiłem bardzo tego kulawego, mądrego biedaka. Polubili go zresztą wszyscy moi przyjaciele za uczynność, dowcip i gorzki, ale łagodny humor.

Próbował parę razy samobójstwa "wielkomiejskiego": rzucał się z wysokości najwyższego piętra najwyższej kamienicy i tylko psa przestraszył, który uciekł, przerażony, nie

umiejąc sobie zdać sprawy, skąd spadł ten człowiek, który się podniósł natychmiast, zaklął i poszedł dalej.

Miałem swoje, dobroczynne plany. Postępowałem ostrożnie, chytrze i celowo. Byłoby nudnym opowiadanie, jakimi drogami doszedłem do tego, że miły ten diabeł, wlaźszy między wrony literackie, zaczął krakać jak i one. Mój diabeł został po roku — autorem dramatycznym. Talent miał, oczywista, diabelski. Napisał świetną sztukę. Zaczął żyć z literatury. Cofnąłem mu wszystkie apanaże. W tym miejscu historia zaczyna być zajmująca: odmówiono mu talentu, zarzucono zbyt pretensje, napuszoną mądrość, zbyt jadowity dowcip i powiedziano, że zbyt bezczelnie naśladuje Shawa. To wszystko powiedziano — mądrymu diabłu, bo był — o, głupi! — Polakiem i pisał po polsku. Powieść jego odesłano do diabła. Pyszny poemat pt. “Piekło” uznano za bzdurę “fałszywie demoniczną”.

Obudziła się w nim pycha wspaniała, diabeł cierpiał. Spotykały go zniewagi dotkliwie i jadowite; wywlekano z niego wnętrzości, napawano rozpaczą. Odżywione przeze mnie diablisko chudło w oczach; posiwiał i postarzał. W jednym piśmie napisano mu, że człowiek, który zostawia ukochaną żonę na bruku, jest rzezimieszkiem nie poetą.

I oto diabeł, który połykał cyjankali jak aspirynę, nie mógł przelknąć tego, co o nim pisano. Męczył się i cierpiał. Jego diabelską szlachetność doprowadzono do spazmów.

Nikt wkrótce nie chciał wydawać jego głupich książek. Przyszedł prosić o pożyczkę — odmówiłem.

Kiedy go odwiedziłem, (mieszkał na strychu, mimo głośnego nazwiska) — leżał w łóżku, załamany i zbolący. Triumf pierwszych powodzeń był zbyt wielki, aby rozczarowanie nie miało być straszne.

Jednej nocy przysłał po mnie.

Był to szkielet, wychudzony głodem, odarty z mięsa przez rozpacz. Dokoła leżały stosy rękopisów.

Uśmiechnął się do mnie dobrym uśmiechem.

— Dziękuję panu! — rzekł cicho. — Rozumiem teraz, jak mądrze pan pokierował całą sprawę. Ja dziś umrę... Z głodu... Że też ja, stary diabeł, nie wpadłem na to dawno, że aby umrzeć, trzeba tylko zacząć pisać książki... Och, jaki pan mądry, jaki mądry... Żeby mnie tylko w piekle przyjęli!... Bo już nie wytrzymam dłużej...

Chwycił moją rękę i tak umarł, mądrze i dobrotliwie uśmiechnięty.

Musiał umrzeć naprawdę, bo w powietrzu zrobił się nagły rwetes, jakby wiatr płakał.

A to diabli — jego bracia — płakali, widząc co się z nim stało i jak straszne męki wycierpiał diabeł, który w Polsce książki pisał.

Więc go przyjęli miłosiernie i z wielką miłością.